Zeszyty Połanieckie

Czasopismo Towarzystwa Kościuszkowskiego w Połańcu PL ISSN 1643-370X

Połaniec 2014

Nr 25

Połanieccy kosynierzy pod pomnikiem Bartosza Głowackiego w Tarnobrzegu

fot. Radosław Matusiewicz

Hymn

Piastowski grodzie tu nad Wisłą

Gdzie Czarna swoje wody wtacza

Tu naszym ojcom osiąść przyszło

Tu nasza miłość nauka praca

Stąd kościuszkowskie szły legiony

Za wolność równość i braterstwo

A lud przez wroga ciemiężony

Do walki stawał bohatersko

Dziś dumą jesteś i wyzwaniem

A czas oblicze twoje zmienia

Niech trud nasz nigdy nie ustanie

W trosce o przyszłe pokolenia

Józef Obora

(propozycja Hymnu Połańca)

Pomnik Tadeusza Kościuszki w Stalowej Woli
fot. Archiwum TK

Drodzy Czytelnicy!

Przed Wami kolejny, dwudziesty piąty numer „Zeszytów Połanieckich". Mamy więc do czynienia z małym jubileuszem, który jednak zmącony został smutnym wydarzeniem – odejściem jednego z najważniejszych naszych autorów, Pana Józefa Korczaka „Gerwazego", któremu poświęcamy jeden z artykułów.

Tym razem proponujemy Państwu interesujący przegląd herbów naszego miasta, które zebrane zostały w artykule napisanym przez Prezesa Zarządu Towarzystwa Kościuszkowskiego – Radosława Matusiewicza.

Ten sam autor proponuje również tekst dotyczący tematyki sportowej. Przypomina w nim o relacjach, jakie od lat łączą dwa kluby piłkarskie – Stal Mielec i Czarnych Połaniec.

Małgorzata Dalmata-Konwicka odnosi się do poruszanego już na łamach „Zeszytów" tematu sybiraków z Połańca. Prezentuje sylwetkę Władysława Dalmaty, którego losy są tak interesujące, że mogłyby stanowić materiał na dobrą powieść.

Prezentujemy również drugą część historycznego tekstu autorstwa Mariusza Parchety, dotyczącego pobytu wojsk carskich pod Połańcem w 1794r. Z pewnością jest to materiał godny polecenia każdemu pasjonatowi insurekcji kościuszkowskiej, gdyż porusza sprawy istotne, aczkolwiek wciąż słabo udokumentowane przez dziejopisarzy.

Centralną część tego numeru pisma poświęcamy na obszerny artykuł autorstwa Pani Teresy Switek, która postanowiła się podzielić z Czytelnikami swymi zapiskami z podróży do Ziemi Świętej. Na pewno jest to wartościowy tekst, dobrze oddający klimat duchowej wędrówki w ten region świata, który jest niezwykle istotny nie tylko dla chrześcijan, ale również dla wyznawców innych religii.

Pan Ryszard Grelewski we wspomnieniowym artykule sięga do czasów Połańca z pierwszej połowy XX wieku, dając świadectwo dotyczące poświęcenia pracujących na rzecz służby zdrowia w Grodzie Kościuszki.

Ostatnie strony „Zeszytów" poświęcone zostały – jak zwykle – opowieściom wędkarskim mojego autorstwa; mam nadzieję, że Czytelnicy uznają je za godne uwagi.

Znajdą Państwo też w naszym wydawnictwie krótki tekst autorstwa Alisy Udodik, sympatycznej Rosjanki, która od jakiegoś czasu studiuje w Polsce i z tej okazji, że ma znajomych w Połańcu, odwiedziła naszą miejscowość.

Tak więc materiał w tych „Zeszytach" urozmaicony, pozostaje tylko wierzyć, że okaże się on interesujący dla naszych Czytelników, którym przekazuję – w imieniu własnym i całej redakcji – serdeczne pozdrowienia.

Marek Pedyński

Radosław Matusiewicz

HERB POŁAŃCA

W tym roku Połaniec obchodził 750-tą rocznicę potwierdzenia praw miejskich przez księcia Bolesława Wstydliwego, co miało miejsce 18 lipca 1264 roku. Połaniec zawsze szczycił się swoją bogatą historią, świętując kolejne jubileusze. Poniżej przedstawiamy, jak zmieniał się herb naszego miasta na przestrzeni wieków.

Sesja historyczna w 1989 r.: drugi z lewej historyk i regionalista Kazimierz Warchałowski, pierwszy z prawej, Zdzisław Owczarek Naczelnik Miasta i Gminy Połaniec

①

②

③

④

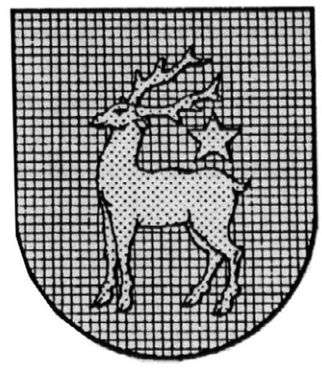

⑤

⑥

⑦

⑧

① Herb własny. Wg odcisku piętnastowiecznej pieczęci miejskiej na dokumencie z 1449 r. Herb przedstawia w polu czerwonym białego orła królewskiego trzymającego w szponach okuty złotem czarny róg myśliwski z rzemieniem opadającym w dół. Kompozycja nawiązuje do osoby monarchy, założyciela miasta oraz do puszczańskiego charakteru okolicy.

② Rekonstrukcja herbu wg odcisku pieczęci miejskiej na dokumencie z 1535, przedstawiająca kompozycję z orłem książęcym.

③ Rekonstrukcja herbu wg odcisku pieczęci miejskiej na dokumencie z 1779 r., przedstawiająca kompozycję z orłem ukoronowanym i odwrotnie wygiętym rogiem myśliwskim.

④ Rekonstrukcja herbu wg odcisku pieczęci miejskiej na dokumencie z XVIII w., przedstawiająca w polu czerwonym białego orła królewskiego trzymającego w szponach złote jabłko i berło. Poniżej okuty złotem czarny róg myśliwski.

⑤ Wyjątkowa kompozycja herbu z 1847 r. przedstawiająca: w polu czarnym złotego jelenia i gwiazdę pięcioramienną. Według lokalnych podań dodanie w kompozycji gwiazdy nawiązywać ma do nocnych polowań królewskich w okolicznej puszczy (odmienność tego herbu w stosunku do pozostałych może wzbudzać zastrzeżenia co do autentyczności tej informacji).

⑥ Herb znaleziony w dokumentach archiwalnych Towarzystwa Kościuszkowskiego w Połańcu.

⑦ Herb Połańca z lat 70-tych.

⑧ Obecny herb miasta.

Na podstawie K. Głowacki „Heraldyka historycznych miast regionu sandomiersko-kieleckiego XIII-XX w., Kielce 2001.

Opracował Radosław Matusiewicz

SPORT ZBLIŻA, CZYLI O DWÓCH ZAPRZYJAŹNIONYCH DRUŻYNACH

Z prasy:

1973 - SPORT ZBLIŻA. Kontakty między Połańcem a Mielcem, miastem piłkarskiego mistrza Polski, są od dawna bardzo bliskie i zażyłe. Przejawiały się dotąd najczęściej w wymianie piłkarzy. Niedawno Mielec pozyskał bramkarza, obecnie Czarni zostaną wzmocnieni kilkoma piłkarzami z rezerwy Stali. Te więzi przenoszą się obecnie na inne dziedziny życia. Działacze sportowi z Połańca i Mielca, wraz z sympatykami, postanowili włączyć się czynami społecznymi do budowy mostu drogowego, mającego powstać na Wiśle, który skróci znacznie odległości między obiema miejscowościami.

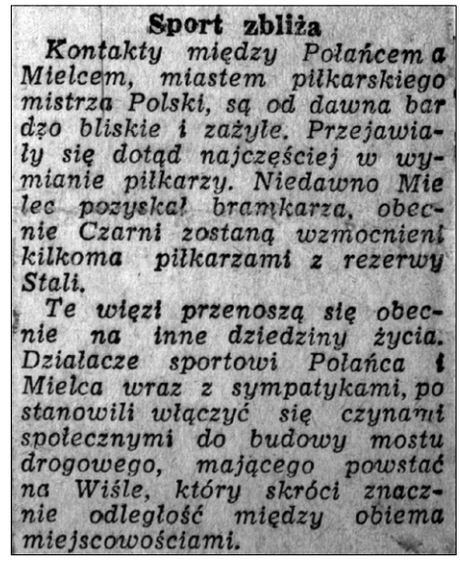

Sport zbliża

Kontakty między Połańcem a Mielcem, miastem piłkarskiego mistrza Polski, są od dawna bardzo bliskie i zażyłe. Przejawiały się dotąd najczęściej w wymianie piłkarzy. Niedawno Mielec pozyskał bramkarza, obecnie Czarni zostaną wzmocnieni kilkoma piłkarzami z rezerwy Stali.

Te więzi przenoszą się obecnie na inne dziedziny życia. Działacze sportowi Połańca i Mielca wraz z sympatykami, postanowili włączyć się czynami społecznymi do budowy mostu drogowego, mającego powstać na Wiśle, który skróci znacznie odległość między obiema miejscowościami.

Drużyna szermierzy „Gryfa" Mielec, drugi z prawej Feliks Drożdżowski z Połańca, uczestnik Mistrzostw Świata w Gronoble 1976

Połaniec i Mielec od wielu lat łączyły bliskie kontakty. Oprócz Sandomierza Mielec był jedynym miastem, gdzie połaniecka młodzież uczęszczała do szkół średnich, a potem pracowała w mieleckich zakładach.

Właśnie dzięki znajomościom tych młodych ludzi kluby z oddzielonych Wisłą miejscowości przyjaźnią się od ponad pół wieku. Połańczanie uprawiali ciężary w „Tęczy", czy szermierkę w najstarszym mieleckim klubie „Gryf", ale najbliższe sobie były zawsze kluby piłkarskie Czarnych i Stali Mielec.

Mecz siatkówki na boisku pod kasztanami „koło kościoła". Blokuje Stanisław Grelewski, na pierwszym planie Władysław Fijałkowski.

Zanim jednak kontakty zacieśnili piłkarze, największe emocje wzbudzały mecze siatkówki.

Tuż po wojnie drużyna siatkarzy wytyczyła boisko na rynku, koło remizy i słupki do siatkówki. Tutaj też odbył się pierwszy oficjalny mecz pomiędzy chłopakami z Połańca, a drużyną z tzw. „Borowej". Nie była to jednak drużyna naszych najbliższych sąsiadów zza Wisły, ale wspaniała drużyna wybrana z najlepszych chłopaków uczących się i pracujących w Mielcu, prowadzonych przez pochodzącego zza Wisły, świetnego siatkarza, **Kazimierza Wójtowicza** – ojca **Tomasza Wójtowicza** ze „złotej drużyny" Huberta Wagnera. Połańczanie pojedynek przegrali, ale dzięki takim sparingom drużyna ogrywała się, miażdżąc później zespoły z okolicznych miasteczek i miejscowości. Drużyna ta była najlepszą w historii klubu połanieckiego klubu i okazała się później (w 1952 r.) najlepszą drużyną LSZ w województwie kieleckim.

Drużyna piłkarska oficjalnie rozpoczęła swoją historię w 1948 roku**.** Pierwsze stroje i piłki były przywożone przez chłopaków pracujących w WSK i trenujących w Mielcu. Trampki, getry czy koszulki były „starymi" strojami zespołu Stali.

Drużyna z Połańca w latach 50-tych, stoją u góry od lewej: Jerzy Pławski, Józef Marczewski, Tadeusz Warchałowski, Janusz Gil, Marian Łowicki, Władysław Szcześniak, Marian Marczewski, ?, Marian Łańka, ?
Dół: drużyna przeciwna, klęczy w ciemnej koszulce z piłką Marian Łukaszek

Wielu połańczan zaczynało przygodę z piłką w Mielcu, grając w juniorach i podpatrując, jak grają seniorzy Stali. Pierwszym, który grał w Mielcu niedługo po zakończeniu II wojny światowej, był kapitan połańczan **Ryszard Kucharski.** W Mielcu grać uczyli

Drużyna Stali Mielec, która awansowała do I ligi w 1960
Od lewej: Otton Opiełka, Ryszard Mysiak, Jan Król, Leszek Gaj, Zbigniew Czudo, Erwin Pyka, Helmut Tobolik, Kazimierz Budek, Rajmund Kapuściński, Alfred Gazda, Henryk Czylok

Drużyna Czarnych 1961 r. Stoją od lewej: Ryszard Matusiewicz, Andrzej Matusiewicz, Feliks Warchałowski, Mieczysław Łodkowski, Ireneusz Adamczak, na dole: Józef Wałcerz, Tadeusz Buczek, Janusz Wołoszynowski, Antoni „Tosiek" Zaliński (bramkarz), Ryszard Brzdękiewicz, Janusz Łabuszewski

się: **Jerzy Pławski**, **Zygmunt Laska** pracujący w kadrze zarządczej WSK (najlepszy prawoskrzydłowy połanieckiej drużyny z tego okresu), czy **Władysław Szcześniak** – szef partii w WSK. Później grali jeszcze **Andrzej Matusiewicz**, świetnie zapowiadający się junior Stali, który jednak powrócił do Połańca, oraz jego młodszy brat **Mieczysław Matusiewicz.**

Legitymacja juniora Stali Mielec z 1967 r.

Od lat połańczanie pracujący w WSK kupowali bilety na mecze Stali, na które jeździła młodzież z Połańca. Dojazd do Mielca odbywał się na różne sposoby. Najpierw przewóz przez Wisłę, a potem jedni jechali rowerami, inni maszerowali do autobusu do Glin lub czekali na kolejkę relacji Sandomierz – Dębica w Jaślanach.

Kibice z Połańca przeprawiający się przez Wisłę na mecz Stali

Zażyłe stosunki między klubami wzmacniał pochodzący z Zawady, pracujący w WSK, ówczesny prezes Stali, **Edward Kazimierski**. W tym czasie ważną rolę odgrywali pochodzący z Połańca, a mieszkający w Mielcu: **Franciszek Korczak i doktor Mieczysław Bernacki**, którzy pomagali młodzieży przede wszystkim w znalezieniu pracy i mieszkania.

Sporadycznie, „na lewo", tzn. na czyjąś kartę w Połańcu grali tacy mielczanie jak **Zygmunt Kukla**. Wiele lat w drużynie z Połańca grał **Stanisław Miller**, mieszkając u prezesa Kosowicza, który traktował go jak syna. Z Mielca trafił tu **Stanisław Kamuda**, żonaty w Połańcu **Jan Rymanowski** (z II-ligowej Stali) oraz junior Stali „Sisi" **Stanisław Sudoł**.

Z racji prywatnych przyjaźni mielczanie wielokrotnie przyjeżdżali na mecze do Połańca, nie tylko na uroczystości jubileuszu klubu, ale na zwykłe nieoficjalne sparingi. Często mecze te sędziował siatkarz z naszej „złotej drużyny", wierny kibic klubu z Połańca – **Marian Łańka**.

Stal Mielec Mistrz Polski 1973, stoją od lewej: Stanisław Stój, Eryk Hansel, Marian Kosiński, Zygmunt Kukla, Stanisław Majcher, Włodzimierz Gąsior, Krzysztof Rześny, Jan Domarski
Na dole: Jan Wiącek, Artur Janus, Adam Popowicz, Grzegorz Lato, Henryk Kasperczak, Witold Karaś

W latach 60-tych największe emocja budziły mecze o Puchar Przewodniczącego Powiatowej Rady Narodowej, rozgrywane w Staszowie. W jednym z takich turniejów w 1964 r., kiedy drużyna Czarnych wygrała w Staszowie 3:1 (bramki **Tadeusz Pławski** 2, **Andrzej Matusiewicz** 1) swoją przygodę z Połańcem rozpoczął **Zygmunt Kukla**, utalentowany bramkarz juniorów Stali Mielec, kolega z ławki szkolnej Mieczysława Matusiewicza. Tych dwóch, wówczas 16-latków, walnie przyczyniło się do zwycięstwa.

W 1967 r., gdy klub prowadzili Władysław Kołek i Janusz Marczewski, pojawia się nazwa CZARNI. Nazwa kojarzyła się przede wszystkim z rzeką, ale i z dużymi nadziejami piłkarzy na awans do wyższej klasy rozgrywkowej.

Drużyna Czarnych w „odświętnych" strojach przed meczem ze Stalą II Mielec

Po tym wydarzeniu piłkarze i kibice, pracujący głównie w mieleckim WSK, za własne pieniądze zakupili stroje (czarne koszulki i białe spodenki). Byli wśród nich: Andrzej Matusiewicz, Mieczysław Matusiewicz, Czesław Kłosiński, Jan Murczkiewicz, Czesław Brzdękiewicz, Stanisław Tatara, Ryszard Brzdękiewicz, Szczepan Warchałowski, Roman Łowicki i inni. Emblematy zakupił prezes Janusz Marczewski. Drużyna rzeczywiście była „czarnym koniem" rozgrywek, awansując w 1971 r. z B do A klasy.

W 1972 r. Czarni rozegrali sparing z rezerwami Stali Mielec. Na mecz z tak mocnym zespołem drużyna z Połańca wzmocniła się dwoma zawodnikami ze Staszowa: Marianem Charygą i Zdzisławem Sikorskim. Połańczanie wygrali 2:0.

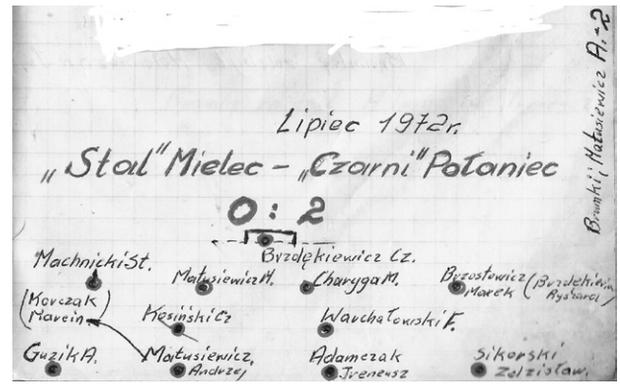

Z zapisków kapitana Czarnych – Andrzeja Matusiewicza

W lipcu 1973 roku LZS Czarni obchodzili 25-lecie klubu. Klub otrzymał wtedy liczne sportowe wyróżnienia. Gwoździem imprez jubileuszowych był mecz pomiędzy LZS Czarni, a zaprzyjaźnioną drużyną pierwszoligowej Stali Mielec. Goście, nie zlekceważyli połańczan, jak w meczu sparingowym, i pomimo znacznego osłabienia pewnie wygrali 2:0. Mecz oglądnęło wtedy ponad 2 tysiące kibiców.

Proporczyk Stali z meczu jubileuszowego

Emblemat Czarnych Połaniec z 1973 r.

Z prasy:

POŁANIEC. Z okazji obchodów 25-lecia klubu LZS Czarni Połaniec odbyło się tu szereg ciekawych imprez sportowych cieszących się dużym zainteresowaniem miejscowych sympatyków sportu. Na niewielki stadion przybyło ponad 2 tysiące kibiców, gdzie gwoździem programu był rozegrany mecz piłkarski pomiędzy A-klasową drużyną Czarnych z zespołem mistrza kraju Stalą Mielec. Piłkarze z Mielca wystąpili co prawda w osłabionym składzie, bez czołowych zawodników przebywających obecnie w Bułgarii, lecz mimo to zaprezentowali dobrą grę pozostawiając po sobie jak najlepsze wrażenie. Mecz zakończył się zwycięstwem Stali 2:0 (1:0). Spotkanie zostało poprzedzone zawodami jeździeckimi z udziałem zawodników sekcji z Kurozwęk oraz meczem piłkarskim juniorów Czarnych z Pogonią Staszów, które zakończyło się wygraną gospodarzy 3:2.

Drużyna Stali II Mielec

Przed meczem

W trakcie meczu

Po meczu piłkarze Czarnych i Stali

W tych latach połańczanie nadal często gościli na trybunach mieleckiego stadionu, dopingując drużynę, która w 1976 r. po raz drugi zdobyła tytuł Mistrza Polski. Drużyna z Mielca, mająca w swoim składzie zawodników światowego formatu, toczyła wyrównane pojedynki w Pucharze Europy Mistrzów Krajowych z takimi potęgami jak Real Madryt - 1:2 i 0:1 (mecz oglądnęło ok. 40 tys. widzów).

Pamiątka z meczu z Realem Madryt

FKS Stal Mielec Mistrz Polski 1976, stoją od lewej: Ryszard Per, Edward Oratowski, Kazimierz Polak, Ryszard Kosiński, Wiesław Siewierski, Zygmunt Kukla, Krzysztof Rześny, Ryszard Sekulski, Henryk Kasperczak, Włodzimierz Gąsior, Edmund Zientara (trener)
Na dole: Andrzej Padziński, Artur Janus, Jan Domarski, Grzegorz Lato, Edward Bielewicz, Zbigniew Hnatio, Witold Karaś.

Trudno sobie było wyobrazić, aby kolejny jubileusz połanieckiego klubu odbył się bez udziału drużyny z Mielca. W 1978 roku, podczas uroczystości 30-lecia Czarnych, drużyna Stali zwyciężyła 2:1.

Zdjęcie z kroniki prezesa Janusza Marczewskiego

Od tego czasu kolejne pokolenia piłkarzy Czarnych wraz z oldbojami mieleckiej Stali rozegrały szereg sparingów, podtrzymując długoletnie więzi między klubami. Mecze te często kończyły się wysokimi zwycięstwami mieleckiej drużyny.

1985 r. mecz oldbojów z Połańca (i Staszowa) przeciwko Stali Mielec. Zwycięstwo Stali 7:1

Podobnie było w kolejnym spotkaniu oldbojów.

Z prasy:

Surowej lekcji udzielili oldboye Stali Mielec swoim kolegom z Czarnych Połaniec. W niedzielne popołudnie, na głównym stadionie naszego klubu nie byli zbyt gościnni i pokonali rywali 7:2, po bramkach strzelonych przez Rześnego -2 oraz Ząbka, Szklarza, Postolskiego, Radonia i Z. Noworytę. Początek meczu nie zapowiadał klęski gości, bowiem piłkarze z Połańca już po kwadransie gry prowadzili 2:0, a bramki zdobyli Gaj i Bugaj. Po meczu, jak nakazuje tradycja, odbyła się wspólna kolacja (…)

Drużyna połanieckich oldbojów na stadionie Stali
Od lewej: J. Kołek, A. Tałaj, R. Gaj, A. Skowron, A. Świszcz, S. Machnicki, M. Matusiewicz, M. Brzostowicz, S. Wilk
Dół: K. Kaczmarczyk, W. Zierold, J. Bugaj, J. Dziedzic

Z prasy:

W Połańcu miejscowy zespół Czarnych przegrał w towarzyskim meczu ze Stalą Mielec 2:3 (0:2). Bramki: Juwa, Tomecki – Curzytek, Tomanek, Bociek.

Działacz sportowy Stali Mielec i kierownik drużyny piłkarskiej mieleckich oldboyów – Jan Spychała, zorganizował w porozumieniu z działaczami klubu sportowego „Czarni" Połaniec spotkanie piłkarskich weteranów. Na odświętnie udekorowanym stadionie w Połańcu doszło do niesłychanie interesującej konfrontacji jedenastek piłkarskich. Licznie zgromadzona miała w niedzielne, słoneczne popołudnie nie lada gratkę. W drużynie mieleckiej wystąpiło wielu zawodników reprezentujących w latach 70-tych barwy Polski – w młodzieżówce oraz pierwszym garniturze. Byli więc uczestnicy pamiętnych potyczek z Anglią – Jan Domarski i Krzysztof Rześny, strzelec pięknej bramki w meczu HIV Hamburg – Stal Mielec – Edward Oratowski, lewoskrzydłowy mistrzowskiej drużyny Stali – Witold Karaś, bramkarze: Henryk Jałocha i Zbigniew Klimczok, napastnik (obecny trener Stali II Mielec) – Marek Chamielec i inni. Stalowy posiadając w składzie ludzi z „nazwiskiem", od początku przejęli inicjatywę i w 13 minucie zdobywca „złotej" bramki na Wembley – Jan Domarski po raz pierwszy umieścił piłkę w siatce gospodarzy. W tym czasie doskonałej pozycji nie wykorzystali Jerzy Fit i Jan Bugaj, przy ich strzałach wysokie umiejętności pokazał Henryk Jałocha. 10 minut po przerwie Domarski po raz drugi zmusił do kapitulacji bramkarza gospodarzy. Kiedy wydawało się, że jest już po meczu, do ataku ruszają gospodarze i dwukrotnie Zbigniew Klimczok ratuje stalowców od utraty bramki. Ambicja miejscowych zostaje nagrodzona. Najpierw Adam Tałaj strzela trzeciemu bramkarzowi Stali – Andrzejowi Gruszeckiemu – pierwszą bramkę, a osiem minut przed końcem Roman Gaj pięknym strzałem w lewy róg bramki uzyskuje wyrównanie. Wynik ten nie krzywdzi żadnej z drużyn, a kibicom miejscowego zespołu przynosi dużą satysfakcję.

Pora na przedstawienie autorów widowiska: Oto oni: Czarni Połaniec: Dziedzic, Wilk, Brzostowicz, Kołek, Reczek, Tałaj, Fit, Machnicki, Guzik, Kaczmarczyk, Gaj oraz Zierold, Matusiewicz, Bugaj i Zientarski.

Stal Mielec – Jałocha, Trela, Oratowski, Tomaszewski, Zakulecki, Radoń, Działowski, Rześny, Chamielec, Domarski, Karaś oraz Klimczak, Płaneta, Ząbek, Zboch, Wilk i Gruszecki.

Bramki zdobyli: Domarski – 2 (13 i 50') dla Stali oraz Tałaj – 55' i Gaj – 72' dla Czarnych. Sędziowali: T. Trela jako główny oraz Z. Rutkowski i R. Zięba z Nowej Dęby. Widzów 2000.

(…) Gościnni gospodarze z prezesem Zdzisławem Śledziem na czele zafundowali piłkarzom Stali atrakcyjną wycieczkę na kopiec Kościuszki (…) oraz zaprosili na uroczystą kolację.

Obie strony przyrzekły, że dalsze kontakty będą na pewno utrzymywane. Teraz kolej na rewanż mielczan.

1998 rok to jubileusz 50 - lecia klubu Czarni Połaniec. Władze klubu nie mogły zafundować kibicom lepszego widowiska, jak spotkanie naszych piłkarzy z drużyną „Orłów Górskiego".

Drużyny oldbojów Czarnych i „Orłów Górskiego"

Mecz rozegrano 3 maja 1998 r. w obecności 4000 widzów, a „Orły" pokonały „Czarnych" 5:3. Drużyny grały w składach - „Orły":

Eugeniusz Cebrat, Dariusz Wójtowicz, Albin Wira, Grzegorz Lato, Marian Kozerski, Jan Domarski, Adam Musiał, Jan Furtok, Andrzej Iwan, Robert Gadocha, Lechosław Olsza, Zdzisław Kapka i Henryk Szymanowski.

Drużynę z Połańca reprezentowali:

Tadeusz Gwizdak, Jan Dziedzic, Tadeusz Ziętarski, Józef Ziętarski, Janusz Bugaj, Andrzej Reczek, Józef Cichoń, Grzegorz Tomecki, Roman Gaj, Andrzej Matuszek, Jarosław Barański, Andrzej Świszcz, Adam Tałaj, Janusz Stawiarz, Ryszard Polak, Krzysztof Kaczmarczyk i Tadeusz Madej.

Bramki zdobyli, dla Orłów – Albin Wira 2 oraz Jan Domarski, Grzegorz Lato i Jan Furtok, a dla Czarnych – Andrzej Matuszek, Ryszard Polak i Janusz Bugaj.

W trakcie meczu znany redaktor sportowy, Henryk Urbaś, prowadzący spikerkę, losował atrakcyjne nagrody dla kibiców. Drużyna Orłów Górskiego wyjechała z Połańca usatysfakcjonowana organizacją imprezy, frekwencją i atmosferą na trybunach oraz poziomem i wynikiem meczu.

Mielczanie odwiedzali Połaniec nie tylko z okazji kolejnych jubileuszy klubu. Chętnie włączali się w akcje charytatywne, promujące jednocześnie

piłkę nożną w naszym mieście. Jedną z bardziej spektakularnych imprez zorganizowało środowisko połanieckie piłkarskie i FWO w 2002 r.

6 grudnia 2002 r. - z prasy „Echo Dnia":

Gwiazdy grały dla Wojtka

Piłkarskie sławy zagrały w Połańcu. Zebraliśmy prawie 3 tysiące złotych!

Wiele piłkarskich sław gościło tydzień temu w Połańcu. Przyjechali z Warszawy, Mielca, Tarnobrzegu i innych miast, żeby zagrać mecz charytatywny dla chorego Wojtka. – Nie mogło nas tu zabraknąć – mówił Grzegorz Lato, były znakomity piłkarz, a obecnie senator, imprezie patronowało „Echo Dnia".

Takich piłkarskich emocji w Połańcu dawno nie było. Wspaniałe techniczne zagrania, efektowne bramki i ogromna dramaturgia spotkań. W roli głównej wystąpili byli reprezentanci Polski ***Lesław Ćmikiewicz, Grzegorz Lato i Stefan Majewski****. Ten ostatni przyjechał z żoną Marią i był najbardziej oblegany przez miejscowych kibiców. Nic dziwnego, przecież po rezygnacji Zbigniewa Bońka tymczasowo przejął obowiązki selekcjonera drużyny narodowej.*

(…) Majewski był najbardziej popularną osobą w Połańcu (rozdał setki autografów), natomiast już po pierwszych akcjach ulubieńcem publiczności został ksiądz Ignacy Dziewiątkowski z Warszawy, największy (dosłownie) polski piłkarz. Imponował niesamowitym sercem do gry, podobnie jak ***Włodzimierz Gąsior****, były trener Korony Kielce, KSZO Ostrowiec i Pogoni Staszów.*

Drużyny grały w składach:

Fundacja Wspomagania Oświaty: Grzegorz Lato, Włodzimierz Gąsior, Janusz Białek, Dariusz Papierz, Grzegorz Tomecki, Jan Dziedzic, Wojciech Kitliński, Jacek Śledź, Andrzej Matusiewicz.

Przyjaciele Stefana Muszyńskiego, zwycięzcy turnieju: Lesław Ćmikiewicz, Stefan Majewski, Tomasz Jagoda, Stefan Tuszyński (zastępca ministra sportu), Robert Błoński, Piotr Motyka, ksiądz Ignacy Dziewiątkowski, Mariusz Rosiak, Piotr Gołas, Paweł Gołas.

Czarni Połaniec: Marcin Olejarnik, Jacek Staniek, Tomasz Kiciński, Marcin Łącz, Rafał Mikoda, Grzegorz Kamieński, Piotr Kajda.

Sędziowali: Jarosław Barański i Adam Stępień z Połańca.

Organizatorami byli: Fundacja Wspomagania Oświaty w Połańcu oraz działacze Delfina Połaniec.

W 2014 roku spełnia się marzenie sportowców z Połańca i Mielca – powstaje most, dzięki któremu o wiele łatwiej będzie podtrzymywać dawne przyjaźnie…

W artykule wykorzystałem zdjęcia i prasówki ze zbiorów rodzinnych: Tadeusza Dalmaty, Feliksa Drożdżowskiego, Stanisława Grelewskiego, Janusza Marczewskiego, Andrzeja, Jerzego i Mieczysława Matusiewiczów, Jana Spychały i Piotra Witka.

Małgorzata Dalmata-Konwicka

NASZA SYBERIADA

Był rok 1914. Jakże pamiętny to rok dla narodu polskiego. Wybuchła pierwsza wojna światowa. Słowo „wojna" nie budzi dobrych skojarzeń. Jednak Polacy, będący przez 100 lat z okładem bez własnego państwa, nękani przez zaborców, wciąż żywili nadzieję na odzyskanie niepodległości.

Mój wuj, Władysław Michał Dalmata, syn Jana i Marianny, urodzony w 1888 roku w Połańcu, służył wówczas w armii carskiej. Gdy wyruszał na wojnę, jego mały brat Franciszek płakał za nim rzewnie i wołał: „Już ty braciszku z tej wojenki nie wrócisz do domu!". Wówczas pełen optymizmu Władysław odpowiedział mu: „Wrócę Franuś, wrócę!".

Pamiętam dobrze wuja Franka i jego żonę, ciocię Franię, ponieważ jako dziecko, często ich odwiedzałam. Mieszkali niedaleko. To byli bardzo mili i sympatyczni ludzie. Wujek Franek uwielbiał mapy geograficzne, dlatego też analizował je zapamiętale. Po latach myślę, że szukał on przez cały czas swojego brata. Jego żona, ciocia Frania, miała w posiadaniu stary modlitewnik z dawnymi pieśniami kościelnymi. Nauczyła mnie kilku i mam je dotąd w pamięci. Dzisiaj obydwoje spoczywają na cmentarzu w Połańcu w rodzinnym grobie Tarnowskich.

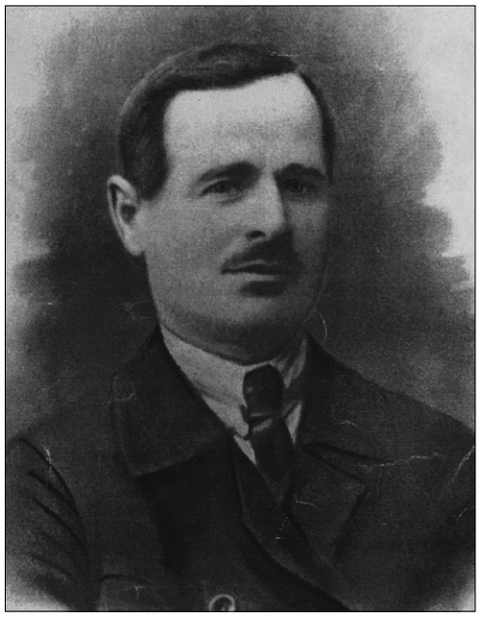

Władysław Dalmata - sybirak z Połańca

Jedno pociągnęło za sobą drugie, w odstępie dwóch tygodni. Działo się to we wrześniu 1989 roku.

Ach! Jakże prorocze okazały się słowa małego Franciszka. Podczas służby w armii Władysław znosił wygody i niewygody, jak większość jego towarzyszy. Wiadomo nie od dziś, że służba nie drużba. Podczas pełnienia nocnej warty, zmęczonemu wielogodzinnym marszem żołnierzowi, oczy wprost kleiły się do snu. Zauważył to jeden z carskich oficerów. Zaszedł wuja od tyłu i z całej siły uderzył go kolbą karabinu w ramię. Władysław, nieświadom czy to sen, czy może jawa, oddał mu cios. Fakt ten miał miejsce jesienią 1914 roku. Za ten incydent wuj został zesłany na Syberię, a miejscem docelowym była Jakucja. Tak oto zaczyna się syberiada rodziny Dalmatów.

W kajdanach na nogach i rękach, pokryty ranami, co na zmianę otwierały się i goiły, przemierzał wuj Władysław trasę z Moskwy do Jakucji wraz z innymi skazańcami. Był traktowany jak więzień polityczny. W czasie swej „wędrówki" osobiście poznał Józefa Stalina – „czerwonego cara" i innych rewolucjonistów. Z dnia na dzień konwój przerzedzał się. Z głodu, wycieńczenia i malarii, zbierającej swoje żniwo, ludzie masowo umierali. Zostawały tylko po nich zesłańcze mogiły z wetkniętym weń krzyżem brzozowym. Władysław gorąco się modlił, prosząc Boga i Najświętszą Panienkę, by pozwolili mu jakoś przeżyć to piekło zgotowane przez los. Bo tak to już jest na tym świecie, że każdy człowiek sam musi dźwigać swój krzyż. Z jednej strony z przybitym do niego Chrystusem, zaś z drugiej – z miejscem dla samego siebie. Z każdym kilometrem konwój z zesłańcami mijał pola, lasy, wioski. Łącznie przebyli sześć tysięcy kilometrów pieszo!!! Bywało, że skazańcy wraz ze swymi oprawcami zatrzymywali się na dłuższe postoje. Wówczas dobrzy ludzie przynosili im jedzenie. Przeważnie kawałek chleba, jajka, rzadko mięso. Władysław pragnął im się jakoś odwdzięczyć, bo nie chciał być niczyim dłużnikiem. Pieniędzy oczywiście nie miał, bo i skąd? Odzienie tylko takie, jak na grzbiecie, a o butach już nie wspomnę. Kazał zatem przynosić sobie kawały drewna. A że robota paliła mu się w rękach, nawet skutych kajdanami, robił wspaniałe beczki na kiszonkę, taborety i inne przedmioty używane w gospodarstwie domowym. W ten oto sposób wykarmił nie tylko siebie, ale i swoich towarzyszy. Dzielił się z nimi tym, co sam otrzymał. Skromnie, bo skromnie, ale zawsze coś w żołądku było.

Irkuck - Aleksandrowski Centrał 1886r.

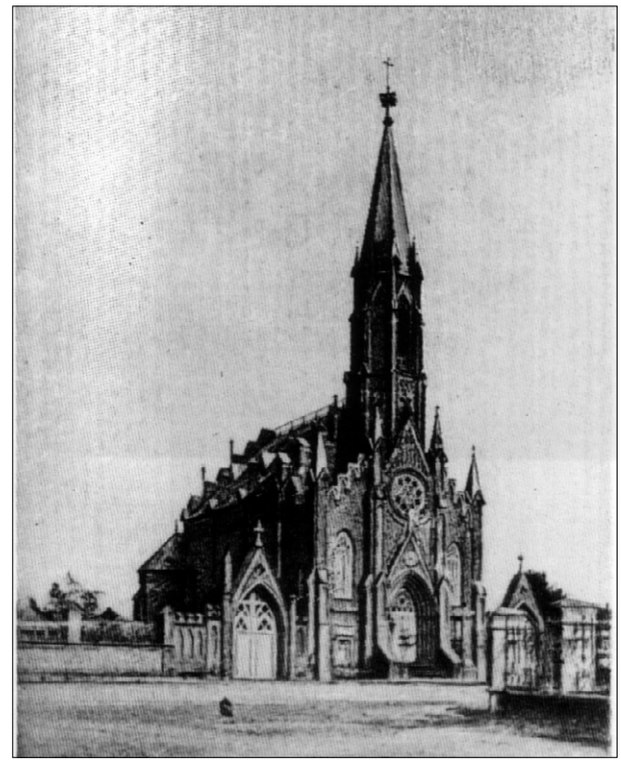

Kościół katolicki w Irkucku

Nad brzegiem Angary...

Nadeszła zima. Władysław Dalmata dotarł 29 grudnia 1916 roku do Aleksandrowskowo Centrala na Syberii. Mróz -40°C! Pamiętajmy, że wuj zmierzał do Jakucji. Jednakże dostać się tam zimą nie było sposobu, bo to przecież w końcu prawdziwa syberyjska zima. Żaden transport nie istniał. Jedynym wyjściem było przeczekać aż stopnieje lód na rzece Lenie. A wtedy dalej można było płynąć łodzią bądź tratwą. Wuj wspólnie z innymi skazańcami nie miał żadnego wyboru. Musiał przeczekać zimę w aleksandrowskim więzieniu. W małej celi przebywało co najmniej 20 więźniów. Oprócz Polaków w więzieniu przebywali m. in. Gruzini, a wśród nich S. Ordżonikidze – słynny rewolucjonista. Gruzini byli wrogo nastawieni do Polaków i często między więźniami dochodziło do kłótni i bójek. Zmuszali polskich zesłańców, by sprzątali po nich nieczystości z fekaliami włącznie. Na szyi wuja Władysława pozostała szrama. Była to prawdopodobnie pamiątka po pobycie w więzieniu, lecz wuj nigdy nie chciał poruszać tego tematu.

W lutym 1917 roku wybuchła w Rosji rewolucja. Władze Rządu Tymczasowego z Sankt Petersburga wydały rozporządzenie, by uwolnić polskich więźniów politycznych. Władysław należał właśnie do tej kategorii skazanych. Gdy rozporządzenie weszło w życie, wuj powiedział: „Czuję, jakbym się drugi raz na świat narodził". Po wyjściu z więzienia wyjechał do oddalonego o kilkadziesiąt kilometrów Irkucka. Stamtąd słał listy do Polskiego Komitetu Narodowego na Syberię i Rosję, by uzyskać odpowiednie dokumenty, świadczące o jego polskim pochodzeniu. Takowe też otrzymał 26 czerwca 1919 roku. Powziął więc myśl o powrocie do ukochanej Polski. Nie było to jednak takie proste, bowiem w dokumentach był bardzo poważny błąd, który zaważył na całym dalszym życiu wuja. Władysław miał na drugie imię Michał. W Rosji nie ma jednak zwyczaju nadawania dwóch imion. Nadaje się tylko jedno i tworzy drugi człon od imienia ojca, a następnie pisze się nazwisko. Jeśli więc Władysław był synem Jana, to zapis powinien brzmieć: Władysław Iwanowicz Dalmata. Zapisano zaś w dokumentach Władysław Michajłowicz Dalmata. Jak się później okazało, taką formę przyjęto również w dokumentach, kiedy wuj przebywał jeszcze w więzieniu w Aleksandrowskim Centrale. Zatem należało skorygować błędne informacje. Władysław nie dawał za wygraną. Uparty, jak większość Dalmatów, wciąż szukał sposobu jak przekonać rosyjskich urzędników o błędnym zapisie w dokumentach i wskazać właściwy. Napisał więc list do swego ojca Jana do Połańca, by ten uzyskał z urzędu gminy dokument świadczący o posiadanej prze zeń ziemi i w razie powrotu syna z zesłania do Polski mógł przyjąć go do siebie, dać mu dach nad głową i rolę. Dokument wystawiony 28 stycznia 1931 roku przez ówczesnego sekretarza gminy, Michała Chorabia, trafił do rąk wuja do Irkucka. Władysław pewien, że wszystko pójdzie gładko, wyruszył w podróż do upragnionej Polski. Na granicy przedstawił celnikom odpowiedni dokument. Ci jednak uparcie twierdzili, że jest on Władysławem Michajłowiczem, a nie Władysławem Iwanowiczem. Bez szans na powodzenie, zrezygnowany wrócił do Irkucka. Próbę powrotu do kraju wuj podejmował dwukrotnie, lecz skutek był wciąż ten sam. Ile czasu, pieniędzy, zdrowia poszło na marne ! Władysław pisał listy do rodziny pełne tęsknoty i żalu, bo tylko to mu pozostało. Zachował się jeden z nich…

Jak wyglądało życie osobiste wuja w państwie rosyjskim, a właściwie w Związku Radzieckim, bo przecież taka nazwa funkcjonowała już od 1922 roku? Władysław poznał Polkę o imieniu Helena i z nią się ożenił. Z tego małżeństwa urodziło się czworo dzieci: synowie Mikołaj i Włodzimierz, którzy zginęli jeszcze w czasie II wojny światowej, syn Michaił (zmarł przed wielu laty) i córka Wiktoria(zmarła w listopadzie 2003 roku). Jednak małżeństwo z Polką nie trwało długo. Helena zmarła, a młody wdowiec musiał radzić sobie sam z czwórką pociech. Wuj wprost uwielbiał dzieci! Często grywał z nimi w domino. Wkrótce poznał Rosjankę i z nią miał kolejną trójkę potomstwa: syna Stanisława (nie żyjącego już) i córki- Rozalię i Mariję (żyją obydwie). Od tego momentu rodzina Władysława Dalmaty rozrastała się na dwie linie: polską i rosyjską. By zarobić na utrzymanie swoich najbliższych, wuj pracował jako brygadzista w stolarni. Słynął z produkcji wspaniałych, bogato zdobionych mebli, ram do luster czy obrazów. Za swoją pracę otrzymywał nagrody pieniężne bądź rzeczowe, na przykład

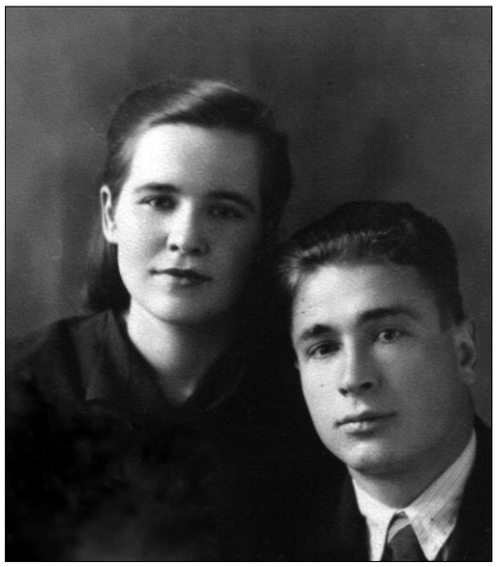

Wiktoria i Michał - dzieci Władysława Dalmaty

kożuch, bardzo przydatny podczas mroźnych syberyjskich zim. Budował też domy nie tylko sobie i swojej rodzinie, lecz także każdemu, kto go o to poprosił. Lubił pomagać innym. Dom Władysława znajdował się na Przedmieściu Marata przy ulicy Rolnej 52. Nie zachował się do naszych czasów. Dziś biegnie tamtędy droga. Wuj prowadził również gospodarstwo, uprawiał rolę. Nosił w wiadrach wodę czystą jak kryształ prosto z rzeki – Angary. Mając rozmaite fachy w swoim ręku, pierwszy wyprodukował słynną na cały Irkuck kiełbasę krakowską i kaszankę, bowiem takich wyrobów tam nie znano. Zapraszał wówczas rodzinę i sąsiadów do siebie, gdzie przy suto zastawionym stole biesiadowali wspólnie. Prawie w ogóle nie pił alkoholu, co w przypadku zwyczajów rosyjskich było wręcz niemożliwe. Mawiał, że to pozostałość z czasów zesłania, bo jako Sybirak, niepewny był swego jutra.

Jak każdy z rodziny Dalmatów, wuj uwielbiał muzykę. Grał na skrzypcach. Z tą umiejętnością wiąże się następująca historia. Któregoś dnia odwiedził dom Władysława pewien mężczyzna. Nic dziwnego, bowiem wuj prowadził dom otwarty. Mężczyzna zauważył w izbie Władysława skrzypce. Bez słowa sięgnął po nie i zagrał rzewnie. Kiedy wuj usłyszał muzykę w wykonaniu swego gościa, powiedział, że to właśnie jemu te skrzypce się należą i wręczył je przybyszowi na pamiątkę. Widząc to, córka Władysława – Wiktoria, rozpłakała się, gdyż wiedziała, że już nigdy nie będzie jej dane usłyszeć koncertów taty.

Władysław lubił czystość. W domu musiało być zawsze posprzątane. Ściany malował na jasne, świeże kolory. Był bardzo eleganckim mężczyzną, w kapeluszu, garniturze i z laską w ręku, prawdopodobnie swojej produkcji. Był też niezwykle religijny. Jako gorliwy katolikchodził często do pobliskiego kościoła. Za swe przywiązanie do religii został aresztowany w 1937 roku. W więzieniu przetrzymywano go sześć miesięcy, bito i poniżano w nadziei, że wyrzeknie się wiary. Nic to nie dało... Gdy opuszczał celę, dostał rozkaz, by nikomu nie zdradzić, co tam się naprawdę działo, jeśli chce normalnie żyć. Bo przecież rok 1937, to czas tzw. operacji polskiej, w ramach której z rozkazu Stalina

Stół wyrzeźbiony przez Władysława Dalmatę

Obraz przywieziony z Polski przez Michała Dalmatę

rozstrzelano sto tysięcy osób. Dopiero na krótko przed śmiercią Władysław opowiedział o wszystkim swojej córce Wiktorii. Po wyjściu z więzienia okazało się, że kościół katolicki w Irkucku został zamknięty, a proboszcza zastrzelono. Wówczas Władysław przestał chodzić nawet do cerkwi, nie spowiadał się, bo wiedział, że pop jest współpracownikiem władzy. Modlił się w domu.

W czasie II wojny światowej nie wzięto go do armii, jak większości mężczyzn w Związku Radzieckim, lecz dano zatrudnienie przy koniach (w dokumentach bowiem widniały informacje o „politycznej" przeszłości wuja). Tu przydał się wyuczony jeszcze w Polsce fach stelmacha. Po wojnie, mniej więcej w latach pięćdziesiątych, odwiedził Polskę syn Władysława Dalmaty, Michał (z linii polskiej). Było to możliwie tylko dlatego, że pracował on jako pilot samolotów pasażerskich w radzieckich liniach lotniczych. Nie wiadomo, w jakich okolicznościach znalazł się w Połańcu w towarzystwie swoich dwóch kolegów. Podczas spaceru po miasteczku natknął się na pewną kobietę. Jak się później okazało, była to rodzona siostra jego ojca, a mego wuja. Miała na imię Władysława. Jej żyjący syn – Piotr Gad – jest dziś jednym z najstarszych mieszkańców Połańca. Ma ponad dziewięćdziesiąt lat. Ciotka poznała swego bratanka po rysach twarzy, lecz widok rosyjskich mundurów sprawił, że nie mogła wydusić z siebie ani słowa… Z krótkiego pobytu w Polsce Michał przywiózł pamiątkowy obraz i wręczył go rodzonej siostrze Wiktorii. Obraz ten po dziś dzień wisi na ścianie w domu rodziny z Irkucka.

Władysław Dalmata, zmarł w Irkucku w 1970 roku. Do końca swoich dni pozostał wierny Polsce, jej historii, tradycji i katolickiej wierze, którą zaszczepił swoim potomnym. Nawet wspaniały Bajkał – najstarsze i najgłębsze jezioro na świecie, przebogate w faunę i florę, syberyjska tajga, ani step, na którym, jak mawiał marszałek Piłsudski, więcej rosło kwiatów niż trawy, nie były w stanie zaspokoić tęsknoty Władysława za krajem, za polskimi górami, rzeką Wisłą i za ukochanym Połańcem… Wszelkie informacje na temat mego wuja znajdują się obecnie w archiwum w Irkucku i w archiwum KGB. A tam lepiej nie sięgać… Mimo upływu czasu, zachowało się kilka pamiątek po wuju. Są to m. in. mała książeczka z reprodukcjami obrazów religijnych i stół drewniany z okrągłym blatem i nogą wyrzeźbioną w kształcie szponów orła. Symbolizowało to niewątpliwie ogromną tęsknotę Sybiraka za Polską… W tym roku mija 100 lat od zesłania mego wuja, Władysława Dalmaty, na Syberię. Czyż można sobie wyobrazić szczęśliwsze zakończenie tej historii? Pierwsza prawnuczka wuja Władysława – Julia, mieszkająca w Irkucku, odwiedziła Połaniec po raz kolejny w ubiegłym roku w sierpniu, gdzie wraz ze swym wybrankiem, Andriejem, stanęła na ślubnym kobiercu w kościele św. Marcina. Byłam świadkiem na tej ceremonii , o czym pisałam w jednym z poprzednich numerów „Zeszytów Połanieckich". Druga prawnuczka wuja, Ludmiła Karpowa, wraz z mężem Eugeniuszem i dziećmi: córką Swietłaną i synem Wanią, po usilnych staraniach przyjechali do Polski i osiedlili się w Połańcu na stałe. Marzenie pradziadka Władysława spełniło się! Rodzina Karpowów jest wśród swoich…

Kiedyś zapytałam kuzynkę Ludmiłę: „Ilu członków rodziny Dalmatów mieszka obecnie w Irkucku i na Syberii?" Odpowiedziała mi z uśmiechem: „100 osób!" To jeszcze nie wszystko. W sierpniu, tegoż roku, przyszła na świat Christina, córka Julii i Andrieja. Spełniły się więc życzenia, jakie złożyłam Młodej Parze. Jakby tego było mało, co chwilę ktoś z rodu Dalmatów odwiedza Konsulat Rzeczypospolitej Polskiej w Irkucku z prośbą o wydanie Karty Polaka. Konsul już dawno przestał zadawać pytania. Teraz na widok kogoś z rodziny mego wuja uśmiecha się i macha rękami.

Julia i Andriej w drodze na ślub

Ludmiła Karpowa

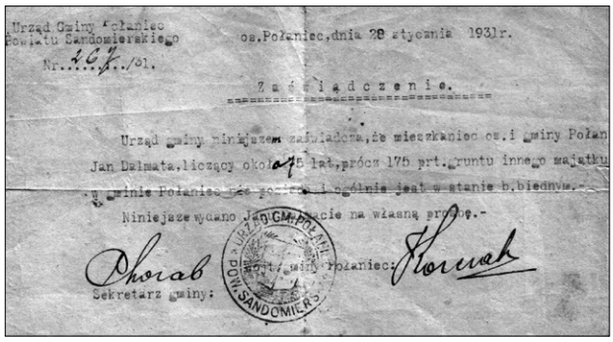

Urząd Gminy Połaniec
Powiatu Sandomierskiego
Nr. 267/31.

os.Połaniec, dnia 28 stycznia 1931r.

Zaświadczenie.

Urząd Gminy niniejszem zaświadcza, że mieszkaniec os.i Gminy Połan
Jan Dalmata, liczący około 45 lat, prócz 175 prt. gruntu innego majątku
w gminie Połaniec nie posiada i ogólnie jest w stanie b.biednym.-
Niniejsze wydano Janowi Dalmacie na własną prośbę.-

Sekretarz gminy:

Wójt gminy Połaniec:

URZĄD GM. POŁANIEC
POW. SANDOMIERZ

Dokument wystawiony w Połańcu, który miał umożliwić Władysławowi powrót do kraju

Cóż mnie, Małgośce, pozostało? Ano nic innego, jak tylko wziąć pióro do ręki i spisywać te rodzinne historie z myślą, że może ktoś, kto je przeczyta, doceni wreszcie to, co ma, i przestanie wiecznie narzekać na swój los, jak to Polacy mają w zwyczaju…

P.S. Artykuł ten powstał w oparciu o liczne rozmowy przeprowadzone z prawnuczką mego wuja, Ludmiłą Karpową, i jej najbliższymi. Dziękuję im za to z całego serca.

Połaniec, 23 października 2014 roku

Mariusz Andrzej Parcheta

WOJSKO CARSKIE POD POŁAŃCEM W DNIACH 5 MAJA 1794 – 19 MAJA 1794 ROKU - CZĘŚĆ II

24 marca 1794 roku wojska rosyjskie na obszarach Rzeczypospolitej Obojga Narodów pozostałych po drugim rozbiorze liczyły przeszło 31000 żołnierzy pod komendą generała Igelstroema, natomiast na ziemiach II-giego zaboru stało w Inflantach i na Białorusi około 20000 żołnierzy, a na Ukrainie stacjonował 30000-sięczny korpus, ogółem jak oszacował to profesor Andrzej Zahorski[1], Imperatorowa Wszechrusi Katarzyna II Wielka mogła wysłać przeciw Powstaniu w Polsce ok. 130000 szabel i bagnetów, w tym tysiące zaprawionych w walce z Turkami i Szwedami żołnierzy i oficerów. Królestwo Prus utrzymywało na terenie II-giego zaboru korpus w sile do 8000 żołnierzy rozwinięty wiosną do siły 17500 bagnetów i szabel, neutralna zaś początkowo Austria wysłała w sierpniu 1794 roku kilkutysięczny korpus z Galicji do województwa Lubelskiego[1]. Niezwykle ciekawe informacje na temat działalności, opisu ogólnego armii rosyjskiej znalazł autor artykułu w pracy profesora doktora Stanisława Herbsta wydanej w 1983 roku, a zatytułowanej „Z dziejów wojskowych Powstania Kościuszkowskiego 1794 roku"[3].

Rekonstrukcja historyczna pod połanieckim kopcem Kościuszki - maj 2014

Według ustaleń profesora Herbsta w okresie od bitwy pod Racławicami 4 kwietnia 1794 roku następował okres wzmacniania sił rosyjskich generała majora Fiodora Denisowa, który przejął pod swą komendę pobitego przez Kościuszkę generała Tormasowa, w końcu kwietnia 1794 roku połączył się z generałem Chruszczowem w Staszowie, a 27 kwietnia 1794 roku doszło do pierwszej utarczki kozaków dońskich majora Adriana Denisowa z wojskiem Kościuszki pod Połańcem[4].

Nakaz strategiczny dla strony polskiej stanowiło dążenie do przełamania pierścienia blokady rosyjskiej zamykającego dywizje naczelnika Kościuszki w rejonie na południe od gór Świętokrzyskich i pod Krakowem. Próbą przerwania tejże blokady po bitwie racławickiej był marsz Kościuszki wzdłuż lewego brzegu Wisły. Generał major Fiodor Denisow ocenił ten zamiar prawidłowo i wykorzystując swoją przewagę liczebną, zablokował armię polską pod Połańcem. Denisow rozumiał bowiem w pełni niebezpieczeństwo ruchu Kościuszki wzdłuż granicy z Austrią. W sytuacji zwycięskiego wybuchu insurekcji warszawskiej połączenie się Kościuszki z Grochowskim stanowiłoby przełom dla powstania. Dałoby Polakom duże siły i swobodę działania. Należało to uniemożliwić lub jak najdłużej odwlec. Po połączeniu się z oddziałami pułkownika Fiodora Apraksina i generała Aleksego Chruszczowa 5 maja 1794 roku w Opatowie Denisow miał już plan działań: oddział złożony z trzech rodzajów broni tj. piechoty, kawalerii regularnej i artylerii wysłał nad Wisłę naprzeciw Annopola, skąd spodziewał się nadejścia dywizji wielkopolskiej generała Grochowskiego.

A teraz, drodzy czytelnicy, przedstawię sporządzony przez profesora doktora Stanisława Herbsta skład połączonych sił rosyjskich generała Denisowa w połowie maja 1974 roku. O sile tego wojska stanowiły:

a/ 24 działa polowe artylerii,

b/ 15 batalionów piechoty, w tym: 2,5 batalionu w pułku muszkieterów uglickich, 2,5 batalionu w pułku muszkieterów nowogrodzkich, 2,5 batalionu w pułku muszkieterów dnieprzańskich, 2,25 batalionu w pułku muszkieterów kozłowskich, 2,5 batalionu w pułku muszkieterów kurskich, 2,25 batalionu w korpusie jegrów jekaterynosławskich i 0,5 batalionu w korpusie jegrów białoruskich[5].

Organizacyjnie pułk muszkieterów zaś dzielił się na dwa bataliony, w każdym była kompania grenadierów. Po połączeniu tych kompanii powstawał półbatalion.

Kawaleria regularna połączonych sił rosyjskich generała majora Fiodora Denisowa składała się z: 6 szwadronów w pułku huzarów woroneskich, 10 szwadronów w pułku dragonów smoleńskich, 5 szwadronów w pułku szwoleżerów achtyrskich, 9 szwadronów jegrów konnych jelizawetgradzkich i 4 szwadronów karabinierów jamburskich. Razem dawało to 34 szwadrony jazdy regularnej, a poza tym w skład sił carskich wchodziło 5 pułków kozackich.

W tym miejscu należy przedstawić ogólny opis armii rosyjskiej u schyłku osiemnastego wieku. Armia ta mogła zmobilizować 500000 żołnierzy, narodowościowo jednolitych w masie żołnierskiej (sami Rosjanie), mających na zapleczu rozbudowany przemysł zbrojeniowy, produkujący 100 % zaopatrzenia wojska w karabiny i działa w tym słynne rosyjskie jednorogi – działa lżejsze i górujące donośnością nad analogicznym sprzętem zachodnioeuropejskim. Służba wojskowa była długotrwała, mając za cel wyobcowanie rekruta z jego macierzystego środowiska, by uczynić zeń pewne narzędzie do pacyfikacji buntów chłopskich. Na obszarze Rzeczypospolitej szlacheckiej stacjonowało prawie 30000 bagnetów i szabel: z tego w Koronie było 18 batalionów, 38 szwadronów, 22 sotnie kozackie i 45 dział pozycyjnych i 36 dział pułkowych, razem stanowiąc ok. 23000 ludzi pod naczelnym dowództwem generała Igelstroema ze sztabem w Warszawie.

Poza garnizonem warszawskim, gdzie dowodził sam Igelstroem, traktu na Litwę strzegł brygadier Frołow Bagrejew, broniąc przeprawy przez Bug pod Grannem, inny oddział strzegł traktu na Mińsk białoruski, stając u przeprawy przez Bug w Brześciu litewskim, traktu na Kijów strzegli bohaterowie tego artykułu: w Lublinie generał major Rachmanow i w Łucku generał major Fiodor Denisow i jego zastępca pułkownik Bekleszew. Podsumowując, autor pisze za profesorem doktorem Stanisławem Herbstem, że żołnierz rosyjski górował nad innymi wytrwałością fizyczną i moralną, choć według niego był mało ruchliwy i źle dowodzony, kawaleria zaś regularna słaba, była silna kozakami – wybornym narzędziem zwiadów, ubezpieczenia i pościgu, artyleria zaś rosyjska słabiej wyszkolona od polskiej górowała nad polską liczebnością i wagomiarem dział. W piechocie od dawna stworzono korpus jegrów, uzbrojonych w broń gwintowaną, stosujących nowatorską taktykę walki ogniowej w szyku rozproszonym, poza tym piechota rosyjska stosowała uderzenia na bagnety w kolumnach. Wojsko rosyjskie maszerowało forsownie, bo miało wytrzymałych

sołdatów, dla których generałowie tacy jak generał hrabia Aleksandr Wasiljewicz Suworow, starali się zastąpić oddziałem wieś rodzinną i rozwijać u żołnierza jak i u oficera bojową inicjatywę. Z drugiej strony stali apologeci taktyki fryderycjańsko-pruskiej tacy jak Igelstroem czy Nikołaj książę Repnin od początku maja 1794 roku naczelny wódz rosyjskich wojsk przeciwpowstańczych.

Wytrawnym sztabowcem był natomiast generał Jan Jakub Pistor, który był kwatermistrzem generała Igelstroema, miał doświadczenie z wojny 1792 roku. Słabością armii carskiej było lekceważenie przeciwnika[6].

Na początku maja 1794 roku generał major Fiodor Denisow rozpoczął realizację swego planu blokady dywizji generała Grochowskiego nad Wisłą, by siłami głównymi iść przeciw Kościuszce. 6 maja 1794 roku w Opatowie pozostał obóz pod osłoną 2 rot grenadierskich: pułku uglickiego i pułku nowogrodzkiego. Nad Wisłę poszedł pułkownik Stojanow z huzarami woroneskimi i muszkieterami uglickimi. Denisow prawdopodobnie tego dnia dotarł do Bogorii, 7 maja Rosjanie zajęli Staszów, a 8 maja 1794 roku zablokowali dywizję Kosciuszki w sile 7012 ludzi i 20 dział pod Połańcem. Pod Staszowem stanęła dywizja generała Chruszczowa, 17 km na wschód od Staszowa – w Wiązownicy – stanęła własna dywizja generała majora Denisowa w sile 3500 ludzi, dalej na wschód, w Osieku nad Wisłą – 4 szwadrony dragonów smoleńskich z dwoma działami, na zachód od Staszowa stał generał Rachmanow z czterema szwadronami i dwoma działami, dalej co pół mili stały jeszcze 2 posterunki. Łącznie generał major Denisow skupił na półkolu wokół Połańca i nad Wisłą 7500 bagnetów i szabel co skutecznie mogło izolować od siebie dywizje Grochowskiego i Kosciuszki, a odległości ogniw łańcucha półkola zapewniały możność skoncentrowania siły w Staszowie lub w Wiązownicy wystarczającej do powstrzymania Kościuszki. 8 maja 1794 roku generał Aleksiej Chruszczow napisał do pruskiego dowódcy na południowym zachodzie generała leutnanta Franza von Favrata, że konieczne do sukcesu blokady Kościuszki pod Połańcem będzie zajęcie przez siły pruskie Nowego Miasta Korczyna[7].

Tymczasem, kiedy pod Połańcem trwała swego rodzaju wojna pozycyjna, 12 maja 1794 roku w Annopolu nad Wisłą stanęła dywizja Grochowskiego, co zaniepokoiło Denisowa. Dla wzmocnienia obrony Wisły wysłał oddział brygadiera Frołowa Bagrejewa, złożony z jamburskiego pułku. Denisow natarł 13 maja 1794 roku na dywizję Kościuszki pod Połańcem, szturm został przez Polakow odparty. Tymczasem w nocy z 16 na 17 maja 1794 roku wojska Grochowskiego przeszły Wisłę pod Annopolem, a tego dnia po drugiej próbie szturmu na polskie lewe skrzydło Denisow, na wieść o dotarciu dywizji Grochowskiego do Opatowa, zarządził odwrót pod osłoną pułków kozackich forsownym marszem na Pińczów – Szczekociny, co trwało od 19 do 21 maja 1794 roku. Kościuszko zaś 19 maja rankiem dowiedział się, że Rosjan nie ma już pod Połańcem[8].

Teraz opiszę działania armii rosyjskiej pod Połańcem, korzystając z: pracy zbiorowej

„Zarysu dziejów Połańca", „Kroniki powstań polskich", a zakończę garścią własnych przemyśleń, co jest przywilejem autorskim.

Stan liczbowy korpusu generała majora Fiodora Denisowa przytoczę także na podstawie danych zawartych w pracy Kazimierza Józefa Warchałowskiego, rodowitego połańczanina, historyka, regionalisty, długoletniego nauczyciela, oficera rezerwy Wojska Polskiego, kawalera między innymi: Złotego Krzyża Zasługi, Krzyża Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski i Złotej Odznaki ZNP, który w latach 1992 – 1993 napisał powołany wyżej „Zarys dziejów Połańca do 1914 roku" będący integralną częścią „Pracy Zbiorowej Połaniec Zarys Dziejów", wydanej w 1994 roku przez Urząd Miasta i Gminy Połaniec[9].

Pan Kazimierz Józef Warchałowski korzystał przy opisie połanieckiej kampanii korpusu generała majora Denisowa również z ustaleń profesora Herbsta, dlatego autor tego artykułu nie będzie powtarzał prologu oblężenia Pierwszej Dywizji Małopolskiej Najwyższego Naczelnika Siły Zbrojnej Narodowej Tadeusza Kościuszki pod Połańcem. Powtórzę tylko za autorem „Zarysu dziejów Połańca do 1914 roku", że od 8 maja 1794 roku (rozpoczęcie blokady polskiego obozu) plan rosyjski zakładał: „Pokonać głównego buntownika Kościuszkę z jego siłami na lewym brzegu Wisły pod Połańcem i do tego doprowadzić, aby pozbawić ludzi i koni żywności, wygłodzić i wreszcie zmusić Kościuszkę do złożenia broni i oddania się w niewolę. W tym celu należy dążyć do uniemożliwienia Grochowskiemu przeprawy przez Wisłę". Denisow najpierw opanował Połaniec, potem rozlokował pułki piechoty i kawalerii wzdłuż linii frontu przed obozem polskim, zaś pobliskie wsie takie jak: Rybitwy, Ruszczę, Zdzieci, Kraśnik i Zrębin, obsadzono silnymi posterunkami kozackimi, które po ograbieniu ludności często dokonywały podpaleń, aby zastraszyć

Polaków. Stałe zaś kwatery kawalerii regularnej rosyjskiej znajdowały się we wsiach: Rudniki, Okrągła, Luszyca, Tursko Małe i Zawada. Pułk muszkieterów uglickich dowodzony przez pułkownika Stojanowa nadal strzegł przeprawy przez Wisłę w rejonie Zawichostu[10].

W skład korpusu rosyjskiego generała majora Fiodora Denisowa wchodziły następujące związki taktyczne: 1) Piechota: 10 rot Uglickiego Pułku =1000 bagnetów, 10 rot Nowogrodzkiego Pułku =1000 bagnetów, 2 bataliony Jekaterynosławskich Jegrów =1000 bagnetów, 1 rota Białoruskiego Pułku =100 bagnetów. Razem piechota wchodząca w skład korpusu generała majora Denisowa liczyła 3100 żołnierzy. 2) Kawaleria regularna: 6 szwadronów Woroneskiego Pułku Huzarów =800 szabel, 6 szwadronów Smoleńskiego Pułku Dragonów =800 szabel, 5 szwadronów Achtyrskiego Pułku Dragonów =140 szabel. Kawalerii kozackiej było 3 pułki Kozaków Dońskich (niekompletne) =600 szabel, w tym pułk krewniaka generała majora Denisowa – majora Adriana Denisowa. Razem kawalerii w składzie korpusu generała majora Fiodora Denisowa było 2340 szabel.

Grupa generała majora Aleksego Chruszczowa: 1) Piechota: 10 rot Dnieprowskiego Pułku =1000 bagnetów, 1 rota Jekaterynosławskich Jegrów =100 bagnetów. Razem piechota grupy generała majora Aleksego Chruszczowa liczyła 1100 bagnetów. 2) Kawaleria regularna: 3 szwadrony Karabinierów Jamborskiego Pułku =400 szabel, 4 szwadrony konnych jegrów =500 szabel. Kawalerii kozackiej było 2 sotnie Kozaków Dońskich =200 szabel. Razem kawaleria generała majora Chruszczowa liczyła 1100 szabel. W dniu 5 maja 1794 roku w Opatowie do generała majora Denisowa dołączyły: oddział pułkownika Fiodora Apraksina liczący 1500 bagnetów i szabel, oddział pułkownika Arapowa liczący 500 bagnetów i szabel i najbardziej enigmatyczny oddział „Nad Wisłą" liczący 1200 bagnetów i szabel. W sumie generał major Fiodor Pietrowicz Denisow dowodził 11490 żołnierzami i 44 armatami artylerii polowej. Generał Denisow nie zdążył wziąć udziału w bitwie racławickiej, ale historiografia przyznaje mu naczelne dowództwo wojsk rosyjskich na kierunku racławickim, natomiast wracając pod Połaniec w sztabie Denisowa znalazł się obok generałów majorów: Aleksego Chruszczowa i Rachmanowa, przegrany spod Racławic – generał major Aleksander Tormasow. Oprócz niego był też pułkownik Fiodor Apraksin[11].

W dniach 12 maja 1794 roku i 17 maja 1794 roku Denisow zaatakował 2 razy obóz Kościuszki, najpierw prawe skrzydło polskiego obozu, ten atak z 12 maja 1794 roku został odparty, po czym rosyjski dowódca zacieśnił blokadę obozu, oddziały Kozaków Dońskich paliły podpołanieckie wioski, aż do wycofania się korpusu generała Denisowa po nieudanym szturmie na lewe skrzydło polskiego obozu 17 maja 1794 roku. W nocy z 17 na 18 maja 1794 roku generał major Fiodor Pietrowicz Denisow, na wieść o przeprawie Grochowskiego 17 maja 1794 roku przez Wisłę pod Annopolem (pan Kazimierz Warchałowski podaje nazwę Rachów, wioskę na której gruntach powstało miasto Annopol) rozkazał błyskawiczny odwrót. Tak kończy się okres blokady obozu Kościuszki pod Połańcem[12].

Teraz pora na kilka słów zakończenia. Chciałem podziękować panom: Radosławowi Matusiewiczowi i Markowi Pedyńskiemu za słowa zachęty przy pisaniu tego 2 częściowego artykułu. Bez ich poparcia ten artykuł by nie powstał.

1. Stefan Kieniewicz, Andrzej Zahorski, Władysław Zajewski, Trzy Powstania Narodowe Kościuszkowskie, Listopadowe, Styczniowe pod redakcją Władysława Zajewskiego, Instytut Historii Polska Akademia Nauk, Warszawa 1992, 1994, 1997, s.43.
3. Stanisław Herbst, Z dziejów wojskowych Powstania Kościuszkowskiego, Warszawa 1983, s.30.
4. Tamże, s.85.
5. Stanisław Herbst, Z dziejów wojskowych Powstania Kościuszkowskiego, Warszawa 1983, s.125.
6. Tamże,ss.31 – 33.
7. Tamże, ss.126, 134, 135.
8. Tamże, s.135.
9. Połaniec, zarys dziejów, praca zbiorowa 1994, ss. 206 – 207.
10. Tamże, ss.154 – 155.
11. Tamże, ss.157 – 158.
12. Tamże, ss.159 – 160.

Teresa Switek

ZAPISKI Z PODRÓŻY DO ZIEMI ŚWIĘTEJ

Szczęść Boże! Piszę ten list, aby zdać relację i opisać wrażenia z pielgrzymki do Ziemi Świętej, która kilka dni temu się zakończyła. Jeszcze w styczniu zapisałam się wraz z koleżanką z mojej parafii, z którą w latach szkolnych śpiewałyśmy w scholii, na 15 dniową pielgrzymkę do Ziemi Świętej we Franciszkańskim Biurze Podróży Patron w Warszawie. Termin pielgrzymki był zaplanowany od 2 do 16 VII 2013r. Przewodnikiem z Biura był pan Franciszek. Posługę duchową pełnił ksiądz Arkadiusz. Była z nami również siostra zakonna Elżbieta.

Dzień 1 - wtorek

Po Mszy św. w kaplicy lotniska Okęcie o godz. 9.00, przeszliśmy do stanowiska biura po odbiór dokumentów, a następnie do odprawy.

Samolot czarterowy Small Planet o 12.10 odleciał z Warszawy, a po 4 godz. lotu wylądował w Sharm El Shaikh na półwyspie Synaj w Egipcie. Z lotniska autobusem ok. 1,5 godz. jechaliśmy do Nuwaiby, gdzie zaplanowany był nocleg. Krajobraz jakże różnił się od naszego. Skalista pustynia z jednej strony, a wybrzeże Morza Czerwonego z drugiej. Przyjechaliśmy gdy był już zmrok, ale w trakcie podpisywania list do pokoi i odbioru kart zapadły przysłowiowe egipskie ciemności, choć była godz. przed 20.00. Tu była obiadokolacja, a rano śniadanie. Rano można było podziwiać nasz ośrodek, jego roślinność, kolor wody Morza Czerwonego, zrobić kilka zdjęć. Po śniadaniu wyruszyliśmy w drogę ku granicy z Izraelem w Tabie.

Dzień 2 - środa

Celem tego dnia było dotarcie na nocleg do Betlejem (ok. 12 km. od Jerozolimy). Po dość długiej odprawie przez granicę jechaliśmy już przez terytorium Izraela. Były 2 postoje: w kibucu, którego znakiem charakterystycznym były postaci łaciatych krów, oraz postój i kąpiel nad Morzem Martwym, tak słonym,

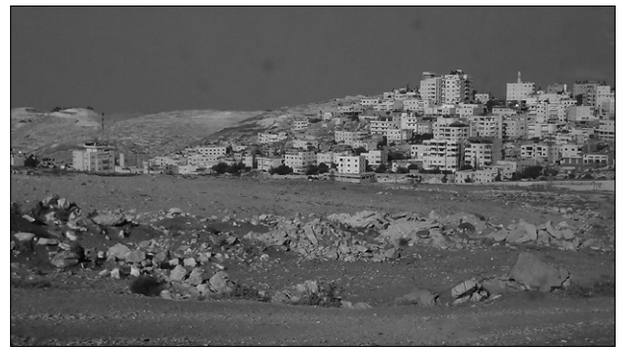

że można było leżeć na wodzie i nie tonąć, nawet gdy ktoś nie umiał pływać. Przy brzegu zamiast piasku, garściami można było nabierać sól. Woda była bardzo ciepła, lecz gdy choć kropla dostała się do oka, to biegiem pędziło się pod prysznic. Kąpiel trwała ok. 1,5 h. i sprawiła, że dalsza podróż nie dawała się tak we znaki i dość szybko w wysokich wzgórzach można było dostrzec osiedla. Było ich coraz więcej. Okazało się, że wjechaliśmy do Jerozolimy.

Robiła wrażenie przy zachodzie słońca bielą kamiennych budowli. Prezentowała się majestatycznie. Wysoki mur oddzielał Jerozolimę od Betlejem. Można też było zobaczyć pełniących wartę żołnierzy na posterunku straży granicznej.

W Betlejem zatrzymaliśmy się w hotelu Betlejem, gdzie w holu przywitał nas duży obraz ze sceną narodzenia Pana Jezusa oraz mała figura Matki Bożej. Nasza grupa mieszkała na VI piętrze. Po obiadokolacji

udałyśmy się na spacer w pobliżu hotelu. Po powrocie była Msza św. w pokoju księdza, gdzie zebrało się ok. pół grupy. Tego dnia nie dostaliśmy innego większego miejsca na jej odprawienie.

Dzień 3 - czwartek

Następny dzień, był pierwszym dniem zwiedzania, już nie z okien autobusu. Pierwszym miejscem było Pole Pasterzy w Betlejem.

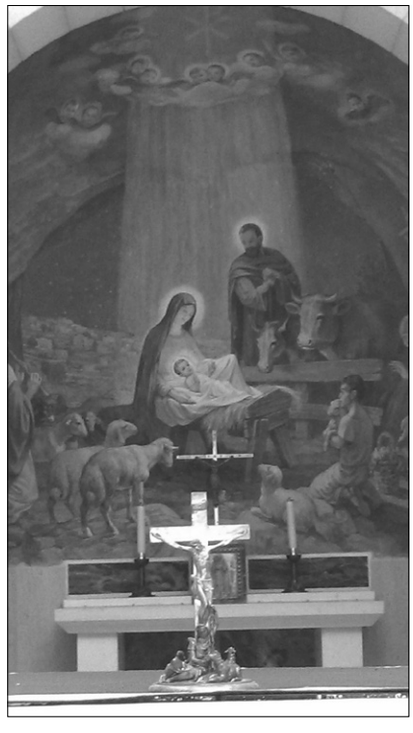

Przed 8.00 rano panowała tam cisza. W grocie, gdzie spali pasterze obudzeni przez Aniołów z wiadomością o narodzinach Jezusa, mieliśmy Mszę św. Na koniec Mszy całowaliśmy figurę Dzieciątka Jezus, a potem zwiedzaliśmy kościół wybudowany na Polu Pasterzy z doskonałą akustyką. Śpiewaliśmy tu kolędy m. in. „Gdy się Chrystus rodzi". Na Polu Pasterzy było wiele mniejszych grot. Obecnie ustawione były tam ołtarze, gdzie grupy mogą celebrować Msze św. Po wysłuchaniu opowieści naszego przewodnika udaliśmy się do Bazyliki Narodzenia. Nim autobus odjechał, można było kupić szopki z drzewa oliwnego oraz różańce z ziemią świętą. Przed zwiedzaniem Bazyliki przewodnik zawiózł nas do zaprzyjaźnionego z Franciszkanami sklepu z pamiątkami. Przewodnik zwrócił nam uwagę, że pamiątką, którą warto kupić, jest krzyż jerozolimski. Dużo ludzi go kupiło, a potem jako podarunek od przewodnika dostaliśmy wszyscy właśnie krzyż jerozolimski.

Bazylika Narodzenia Pańskiego z miejscem, gdzie złożone było Dzieciątko Jezus, była teraz naszym celem. Wg naszego przewodnika, tu, gdzie obecnie jest gwiazda, złożone było Dzieciątko. Nikt nie ma co do tego wątpliwości, żadna z religii. Stąd miejsce jest oblegane. Budowę bazyliki zaczęto w 327 roku, a zakończono w 333 roku. W V w. w pobliżu bazyliki żył i umarł św. Hieronim. Trafiliśmy na godz. 12.00, o której to godzinie ma miejsce procesja franciszkańska. Stąd nasza grupa miała więcej czasu na pobyt w tym miejscu.

Normalnie by nas pośpieszano, abyśmy przeszli. Dzięki procesji mogliśmy być dłużej w tym szczególnym miejscu i nasycić się świadomością obecności maleńkiego Jezusa. Stojąc w kolejce do Groty Narodzenia, odmawialiśmy różaniec. Bazylika zbiegiem okoliczności uniknęła zburzenia podczas najazdu perskiego w 614 roku. Legenda głosi, iż dowódca perski Szarbaraz został poruszony wizerunkiem Trzech Króli w szatach wschodnich, które przypominały jego

własne i jego żołnierzy. Przy Bazylice Narodzenia Pańskiego zwiedzaliśmy grotę św. Hieronima, znanego ze swej znajomości Pisma Św.

Po opuszczeniu Bazyliki Narodzenia było zdjęcie grupowe przed Bazyliką, po czym udaliśmy się do Groty Mlecznej. W grocie, odległej od Groty Narodzenia o ok. 200 m w linii prostej, nazywanej dzisiaj Grotą Mleczną, Święta Rodzina miała przygotowywać się do wyruszenia do Egiptu. Gdy w pośpiechu Józef ponaglił Maryję, według palestyńskich podań, kilka kropel karmiącej miało upaść na skałę, zmieniając ubarwienie całej groty na białe. W grocie występuje jasny tuf. Podobnie jak w Bazylice spotykaliśmy tu grupy z różnych stron świata, modlące się szczególnie w trudnych sytuacjach, gdy jest problem z poczęciem dziecka. Wiele osób wyprosiło tu wiele łask.

Z Groty Mlecznej pielgrzymi zabierają biały proszek, który można tu zebrać samemu lub dostać składając ofiarę. Do sanktuarium przychodzą również, oprócz pątników i miejscowych chrześcijan, kobiety muzułmańskie, by prosić o dar mleka dla swoich niemowląt lub o dar uzdrowienia z niepłodności. Idąc do naszego autokaru z polskim orłem mijaliśmy ulicznych sprzedawców zachęcających do zakupu ich towarów. Piękny, biały, bawełniany szal można było kupić za 2 dolary. Sprzedawano m. in. sandały z wielbłądziej skóry W ostatniej chwili zdecydowałam się najpierw spróbować, a potem kupić kotlety z soczewicy. Trzeba przyznać, że nie były drogie, a wyjątkowo smaczne i syte.

Po obiedzie w restauracji na Polu Rut zwiedzaliśmy maleńki kościół Wniebowstąpienia (obecnie opiekują się nim Muzułmanie), a niedaleko kościół Pater Noster, którym opiekują się karmelitanki. Tu są umieszczone tablice z modlitwą „Ojcze Nasz" w różnych językach świata. Kościół stoi na miejscu, gdzie Pan Jezus nauczył apostołów modlitwy „Ojcze nasz".

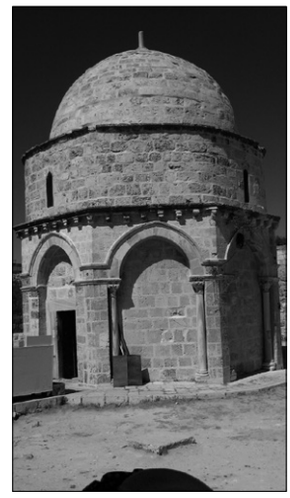

Również jest tablica w języku polskim. Nasz przewodnik zaskoczył nas informacją, że na 2 miesiące przez katastrofą smoleńską, w lutym 2010, litery z naszej tablicy „spłynęły". Zostało tylko zdanie „ale nas zbaw ode złego. Amen." Po tym fakcie tablicę remontowano. Obydwa zwiedzane przez nas kościoły znajdują się na Górze Oliwnej. Stąd pieszo przeszliśmy na cmentarz żydowski położony na zboczu Góry Oliwnej. Nagrobki żydowskich mogił są pokryte kamieniami.

Zawsze gdy ktoś z bliskich lub znajomych modlił się nad grobem, kładł kamyk. Im więcej kamyków, tym częściej odwiedzany grób i tym bardziej omodlona dusza zmarłego. Na nagrobnych płytach nie widać było nigdzie kwiatów czy zniczy, jak to jest na polskich cmentarzach.

Potem przeszliśmy do kościoła Dominus Flevit czyli Pan zapłakał. Został zbudowany w miejscu, gdzie według Ewangelii św. Łukasza Jezus Chrystus zapłakał i przepowiedział upadek Jerozolimy (Łk 19, 41-44). Pierwsza świątynia powstała w czasach bizantyjskich. Obecna budowla została wzniesiona przez franciszkanów z Kustodii Ziemi Świętej w latach 1953-1955 według projektu Antonio Barluzziego.

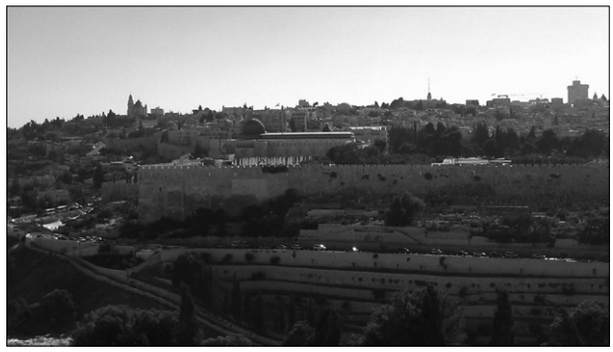

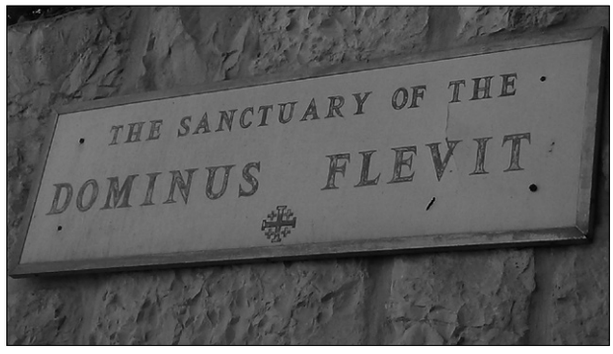

Architekt nadał jej kształt obróconej łzy. W kościele charakterystyczna jest mozaika koguta pod ołtarzem, kojarząca się z kogutem, który 3 razy zapiał, gdy Piotr 3 razy zaparł się Pana Jezusa.

Następnym punktem był Ogród Getsemani. Dosłownie Getsemani znaczy „tłocznia oliwek", tradycyjnie tłumaczone jako „ogród oliwny".

Jest to miejsce w Jerozolimie, w którym Jezus przebywał na czuwaniu modlitewnym razem z Apostołami, w wieczór przed pojmaniem. W ogrodzie rosną ogromne drzewa oliwne wg przekazów jeszcze z czasów Jezusa. Obok znajduje się Bazylika Agonii nazywana też Bazyliką Narodów, gdzie w centralnym miejscu przed ołtarzem znajduje się duża kamienna płyta otoczona cierniem, przy której modliliśmy się. Tak minął trzeci dzień pielgrzymki. Wróciliśmy do Betlejem, podziwiając zachód słońca w Jerozolimie i jej majestatyczne, lśniące bielą budowle.

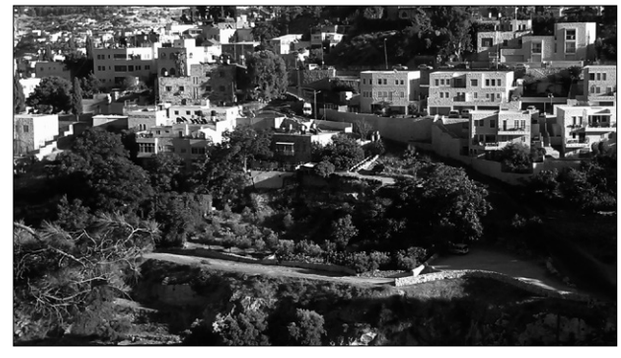

Dzień 4 - piątek

Czwartego dnia pielgrzymki dotarliśmy do Cezarei, Hajfy, Nazaretu, Kany Galilejskiej i Tyberiady nad Jeziorem Genezaret, gdzie był zaplanowany nocleg.

W Cezarei po obejrzeniu filmu w j. angielskim z innymi grupami o czasach świetności tego miejsca

naocznie mogliśmy zobaczyć ruiny amfiteatru, fragmenty kamiennej tablicy poświęconej Poncjuszowi Piłatowi, zrobić zdjęcia w rydwanie, pochodzić brzegiem Morza Śródziemnego. To z Cezarei św. Paweł wyruszał, aby ewangelizować inne narody.

W Hajfie byliśmy na Górze Karmel, gdzie jest sanktuarium Matki Bożej Gwiazdy Morza. W sklepiku przy kościele można było kupić szkaplerze i obrazki z modlitwą do Matki Bożej z Góry Karmel. W karmelitańskim kościele jest grób proroka Eliasza oraz obrazy karmelitańskich świętych św. Jana od Krzyża, św. Teresy z Avilla, św. Teresy Benedykty od Krzyża (Edyty Stein) oraz Palestynki błogosławionej Miriam Baouardy, o której chyba nigdy wcześniej nie słyszałam. Nasz przewodnik w czasie podróży przybliżył niezwykłą historię jej życia.

Regina Decor Carmeli
Haifa - Israel

Maria Baouardy urodziła się 5 stycznia 1846 w rodzinie palestyńskiej, jako córka Libanki i mieszkańca Damaszku, należącej do Kościoła melchickiego. Na chrzcie otrzymała imię Miriam. Jej rodzicami byli Giries Baouardy oraz Miriam Chahyn. Była trzynastym dzieckiem w rodzinie, całe jej starsze rodzeństwo zmarło w wieku niemowlęcym. Straciła rodziców we wczesnym dzieciństwie, wtedy to została rozdzielona ze swoim młodszym bratem Boulosem i znalazła się pod opieką swojego stryja, który niedługo potem przeniósł się z rodziną do Aleksandrii. W wieku trzynastu lat stryj zaręczył ją z jednym z jego krewnych, jednak ona stanowczo odmówiła zawarcia małżeństwa, oświadczając że pragnie pozostać dziewicą. W akcie protestu ścięła swoje włosy i podała je na tacy stryjowi podczas uroczystej kolacji. Czyn ten wywołał oburzenie i zrodził konflikt z opiekunami. Po tym zdarzeniu została zamknięta z niewolnicami i odsunięta od możliwości uczestnictwa w sakramentach Kościoła katolickiego.

Pogrążona w rozpaczy napisała list do swojego brata z prośbą o pomoc i zaniosła go do muzułmańskiego służącego stryja. Wdała się z nim w dyskusje o chrześcijaństwie, na skutek czego służący w porywie gniewu poderżnął jej gardło i porzucił ją na ulicy. Stało się to 7 września 1858 roku. Miriam przeżyła wtedy widzenie, w którym opiekowała się nią tajemnicza zakonnica, po czym zaprowadziła do kościoła i znikła. Tam została odnaleziona przez miejscowego księdza, a następnie przedstawiona arabskiemu biskupowi. Od tego momentu zaczęła ukrywać się przed rodziną i pracować jako służąca. W lęku przed wykryciem przeniosła się do Jerozolimy, gdzie została niesłusznie oskarżona o kradzież i wtrącona do więzienia. Po dwóch dniach, sprawczyni kradzieży przyznała się, dzięki czemu Miriam została wypuszczona na wolność.

W wyniku nieudanej podróży do Akki trafiła do Bejrutu, gdzie w czasie pracy straciła wzrok. Pomimo iż lekarze uznali jej stan za nieuleczalny, wyzdrowiała, co sama przypisała modlitwie. Przeżyła również bardzo ciężki upadek z wysokości, po którym całkowicie wróciła do zdrowia, co przyprawiło jej lokalnego rozgłosu i opinii świętej.

W maju 1863 r. przeniosła się do Marsylii we Francji, gdzie pracowała jako kucharka. Tam zaczęła popadać w pierwsze ekstazy. W czasie jednej z nich zapadła w sen na cztery dni.

W roku 1865, w wieku 19 lat, została przyjęta do postulatu w zgromadzeniu sióstr św. Józefa w Capelette w pobliżu Marsylii. Tu ponownie została skierowana do służby w kuchni. Po postulacie rada zgromadzenia zdecydowała się ją odesłać, argumentując, że jej nadprzyrodzone dary nie są właściwe w zakonie czynnym.

W czerwcu 1867 r. wstąpiła do karmelitanek w Pau. Tu podczas postulatu pojawiły się pierwsze stygmaty. Rozpoczynając nowicjat, 21-letnia Miriam otrzymała imię zakonne Maria od Jezusa Ukrzyżowanego. Przeżyła opętanie od 26 lipca do 4 września 1868. Trwało ono dokładnie 40 dni. Przeżywała również ekstazy, wizje, proroctwa i lewitacje.

Po odbyciu nowicjatu wraz z grupą pięciu innych sióstr w 1870 r. wyruszyła do Indii na zaproszenie biskupa miasta Mangalore Marii Efrema, w celu założenia nowego klasztoru. W czerwcu 1871r. przeżyła kolejną ekstazę. 21 listopada 1871 złożyła w Mangalore śluby wieczyste. Niecały rok potem 5 listopada 1872 powróciła do Pau, gdzie znów została skierowana do prac fizycznych. 20 sierpnia 1875 r. wyruszyła wraz z dziewięcioma towarzyszkami do Betlejem w celu założenia nowego klasztoru. Trwałym znakiem jej działalności w Palestynie jest klasztor sióstr karmelitanek na Wzgórzu Dawida w Betlejem. 22 sierpnia 1878 przeżyła upadek ze schodów, w trakcie którego złamała lewą rękę. Na jego skutek błyskawicznie rozwinęła się gangrena i Miriam zmarła 26 sierpnia 1878 roku.

Została beatyfikowana przez papieża Jana Pawła II w dniu 13 listopada 1983 roku. Jest porównywana z o. Pio z Petrelciny.

Podziwiając ponad milionową aglomerację w Hajfie i jednocześnie znaczący port, ruszyliśmy w kierunku Nazaretu. Do Nazaretu przyjechaliśmy przed. godz. 13.00. Wokół Bazyliki Zwiastowania w krużgankach zgromadzono wizerunki Matki Bożej z różnych stron świata, m. in. jest Matka Boska z Chin.

Przed Bazyliką stoi biała figura MB Niepokalanej, której ręce są wytarte dotykiem rąk pielgrzymów, którzy w ten sposób chcą wyrazić swoje najlepsze uczucia do Matki Bożej. Bazylika Zwiastowania ma 2 poziomy. Na poziomie dolnym jest cały czas wystawienie Najświętszego Sakramentu, kilka osób m. in. Siostry trwały w adoracji. Tam też są pozostałości Domku Maryi, a całą Bazylikę zbudowano jakby nad nimi tak, że znalazły się w środku. Przy tym Domku nasza grupa odmówiła Anioł Pański, po czym przeszliśmy na poziom górny, gdzie o godz. 15.00 mieliśmy Mszę Św. Dom św. Józefa był w remoncie, więc nie można było tam wejść, zaśpiewaliśmy tylko pieśń „Święty Józefie Patronie Nasz".

Z Nazaretu pojechaliśmy do Kany Galilejskiej. W wąskiej uliczce niedaleko wejścia do prawosławnej Cerkwi przez małym sklepikiem ustawiono jako dekorację 6 stągwi kamiennych. Po zwiedzeniu Cerkwi przeszliśmy do kościoła katolickiego, gdzie 8 par małżeńskich z naszej grupy miało odnowienie ślubów . Po tej uroczystości w jednym ze sklepików degustowaliśmy wino, które później można było nabyć. Z Kany Galilejskiej pojechaliśmy na nocleg do Tyberiady nad jeziorem Genezaret, gdzie w hotelu, po obiadokolacji było symboliczne wesele. Pary, które odnowiły przyrzeczenia przysięgi małżeńskiej, częstowały winem. Śpiewaliśmy piosenki m. in. weselne. Zakończyliśmy Apelem. W holu przed recepcją mogliśmy wysłuchać kilku utworów Chopina w żywiołowym wykonaniu młodego Żyda. Po koncercie był jeszcze spacer nad Jezioro Tyberiadzkie. Było wyjątkowo ciepło i na deptakach, mimo późnej pory, spotkać można było całe rodziny z dziećmi.

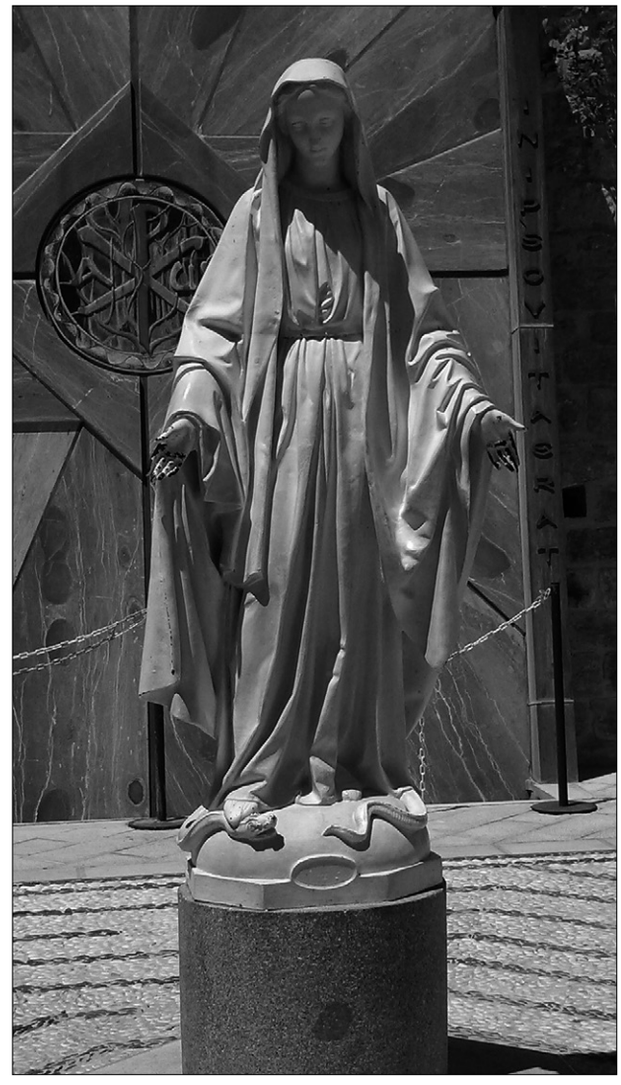

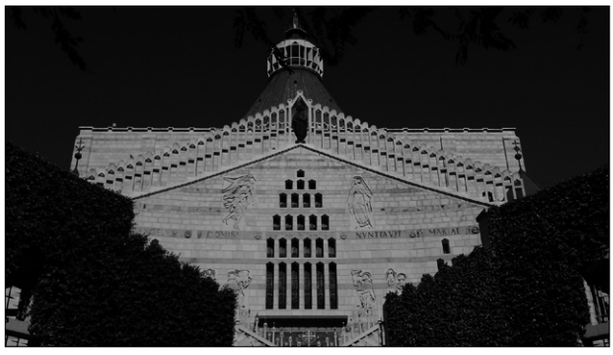

Dzień 5 – sobota

Rano znów pakowanie się. Tego dnia wieczorem będziemy mieć nocleg na Górze Oliwnej w Jerozolimie. Ale dzień zaczynamy od wycieczki statkiem po Jeziorze Genezaret (Tyberiadzkie).

Kapitan wciągnął na maszt flagę Polski, a później Izraela, po czym usłyszeliśmy hymny obydwu krajów. Jezioro było spokojne, a podróż na przeciwległy brzeg trwała około 1 godz. od 8.00 do 9.00.

Po krótkiej jeździe naszym autokarem byliśmy już na Górze Błogosławieństw. Tutaj roślinności nie brakowało, a kwitnące kwiaty szczególnie rzucały się w oczy.

Mieliśmy Mszę św. przy ołtarzu polowym, bo kościół był zajęty przez inną grupę. W przedsionku kościoła znajdują się tablice upamiętniające pielgrzymki papieży do tego szczególnego miejsca. W 1964 roku był tu Paweł VI, a w roku 2000 Wielkiego Jubileuszu Narodzenia Pana Jezusa Jan Paweł II. Podczas Mszy św., którą tu na Górze Błogosławieństw odprawił, odbyło się największe spotkanie chrześcijan od czasów Jezusa. Tego dnia było dużo grup. Inne grupy też się modliły i odprawiały Msze św.

W Wikipedii można wyczytać: „W 1937 zbudowano tu sanktuarium upamiętniające Jezusowe błogosławieństwa. Kościół został zaprojektowany przez Antonio Barluzziego jako bryła na planie ośmiokąta, o ośmiu oknach z witrażami do łacińskich tekstów z Kazania na górze nawiązujących do liczby błogosławieństw. Dookoła kościoła biegną portyki z kolumnami. Jest to doskonały punkt widokowy na egzotyczne gaje z palmami, magnoliami, ale przede wszystkim na jezioro Genezaret (Tyberiadzkie), ruiny Kafarnaum i Tabghi oraz duży obszar Galilei. Kościół, jak i funkcjonujący tutaj dom pielgrzyma, jest pod opieką włoskich sióstr Franciszkanek Niepokalanego Serca Maryi".

Z Góry Błogosławieństw udaliśmy się do Tabgi. Tabga oznacza 7 źródeł.

Tu Pan Jezus, nauczając tłumy, rozmnożył 2 ryby i pięć chlebów i nakarmił 5 tys. samych mężczyzn, nie licząc kobiet i dzieci. W kościele, którym opiekują się niemieccy Benedyktyni, przed ołtarzem jest mozaika przedstawiająca 4 chleby i 2 ryby. Ta mozaika jest motywem powielanym na różnych pamiątkach. Nabyłam w Betanii ceramiczny talerz z mozaiką z Tabgi na wigilię.

Z Tabgi udaliśmy się do kościoła Prymatu św. Piotra. Przed małym kościołem są figury Pana Jezusa i św. Piotra. Kościół Prymatu św. Piotra lub Mensa Christi został wybudowany w miejscu, w którym według tradycji Jezus ukazał się po swej śmierci po raz trzeci.

Po prawej stronie znajdują się ołtarze polowe upamiętniające wizyty papieży: Pawła VI i Jana Pawła II, którzy jako jedyni papieże odwiedzili to miejsce. Miejsce, które znane jest z drugiego cudownego połowu ryb, a także z prymatu, jakiego Jezus udzielił św. Piotrowi. Kościół jest niewielki, w środku znajduje się przed ołtarzem wystająca ponad posadzkę skała „Mensa Christi" zwana też „Stołem Pana". Według tradycji to właśnie na tej skale, po cudownym połowie, Jezus zaoferował apostołom posiłek: ryby i chleb. Przy tej skale też Jezus po posiłku zapytał trzykrotnie Szymona: „Szymonie, synu Jony, czy Mnie miłujesz?" Na co otrzymał odpowiedź: „Panie, Ty wiesz, że Cię miłuję". Później padły słowa Chrystusa: „Paś baranki moje".

Z kościoła Prymatu św. Piotra podjechaliśmy do Kafarnaum.

Wioska została założona w II wieku p.n.e. Była to niewielka wioska rybacka, pozbawiona muru obronnego. Wszystkie te miejsca położone są nad brzegiem jeziora Genezaret. Kafarnaum to miejsce, gdzie u swoich teściów mieszkał św. Piotr. Pozostałości tego domu są obecnie we wnętrzu kościoła. Obok kościoła są ruiny synagogi. Zwraca też uwagę figura św. Piotra. Nazwa miasta nie jest nigdy wymieniana w Starym Testamencie. W czasach Jezusa Chrystusa było to miasto nadgraniczne, z miejscem poboru podatku celnego. Miasto jest cytowane w Ewangelii Łukasza, jako miejsce zamieszkania apostołów Piotra, Andrzeja, Jakuba Większego, Jana i Mateusza (celnik z Kafarnaum). Ewangelia Mateusza 4:13 wspomina, że w mieście zamieszkał Jezus Chrystus. Podczas jednego z szabatów Jezus nauczał w synagodze w Kafarnaum i uzdrowił chorego człowieka. Potem uzdrowił chorą na gorączkę teściową Piotra. Według Ewangelii Łukasza Kafarnaum było także miejscem, gdzie rzymski setnik poprosił Jezusa o uzdrowienie jego sługi. Ewangelia Marka wspomina o uzdrowieniu paralityka, którego opuszczono do Jezusa przez dach. Według tradycji chrześcijańskiej, po zmartwychwstaniu Jezusa, w Kafarnaum obok lokalnej gminy żydowskiej ukonstytuować miała się jedna z pierwszych gmin judeochrześcijańskich, której miejscem spotkań stać się miał dom apostoła Piotra. Po opuszczeniu Kafarnaum udaliśmy się na rybę św. Piotra do restauracji nad brzegiem jeziora Genezaret. Część grupy skorzystała z kąpieli w jeziorze. Był upalny dzień.

Po obiedzie pojechaliśmy do Jardenitu nad Jordanem, gdzie oczom naszym ukazał się widok wspaniałej roślinności, a szczególny zielonkawoniebieski kolor wód Jordanu zachwycił chyba każdego.

W Jordanie była jest odnowa przyrzeczeń chrzcielnych. Były grupy odziane w szaty chrzcielne wchodzące w nich do Jordanu. My wchodziliśmy do wody gdzieś po kolana, a nasz ksiądz polewał nasze głowy wodą z Jordanu odmawiając formułę odnowienia przyrzeczeń chrzcielnych.

Specjalny fotograf uwiecznił ten moment, a przy wspaniałej słonecznej pogodzie tego dnia zdjęcia wyszły rewelacyjnie. Wystarczyło kilkanaście metrów oddalić się od brzegu Jordanu, aby poczuć ogromny upał, jaki panował tego dnia.

Z Jardenitu, jadąc wzdłuż Doliny Jordanu, dojechaliśmy do Jerycha. Zatrzymaliśmy się przed Górą Kuszenia Pana Jezusa, gdzie 40 dni przebywał na pustyni.

Nasz ksiądz Arek jeździł w Jerychu na wielbłądzie. W sklepie można było kupić drobne pamiątki. Po drodze zatrzymaliśmy się przy sykomorze Zacheusza. Zacheusz to zwierzchnik celników w Jerychu. Zacheusz występuje w Ewangelii św. Łukasza (Łk 19,1-10). Z powodu niskiego wzrostu, gdy przez Jerycho przechodził Jezus Chrystus, wspiął się na sykomorę, aby go zobaczyć. Jezus pozdrowił go i zapowiedział swoją wizytę w jego domu. Zacheusz oświadczył na to, że rozdaje połowę swojego majątku ubogim, a skrzywdzonych przez siebie wynagradza poczwórnie. Po tej deklaracji Jezus określił go jako prawdziwego syna Abrahama. Gdy całą grupą podziwialiśmy sykomorę, na którą wspiął się Zacheusz, podeszli do nas uliczni sprzedawcy fig (wyjątkowo dobrych).

Wracamy do Jerozolimy. Nocleg jest w hotelu na Górze Oliwnej, w pobliżu kościoła Wniebowstąpienia, kościoła Pater Noster oraz żydowskiego cmentarza.

Z okien hotelu mieliśmy wspaniały widok na Jerozolimę. Wyżywienie bardzo dobre – szwedzki stół. W czasie kolacji jest z nami druga polska grupa ks. profesora Waldemara Chrostowskiego – biblisty z KUL. W hotelu odbywa się żydowskie wesele, a nasz przewodnik podpowiada nam, aby podejść i popatrzeć, jak się bawią. W dużej sali było mnóstwo gości weselnych. Starsi siedzieli za suto zastawionymi stołami i obserwowali, jak bawią się młodzi albo bezpośrednio albo na telebimie, na którym pojawiał się obraz z kamery na ogromnym wysięgniku.

Dzień 6 – niedziela

Kolejny dzień pobytu w Izraelu to niedziela. Po śniadaniu udajemy się do Starej Części Miasta pod Mury Jerozolimy.

Zaczynamy od Bramy Lwiej nazywanej Bramą św. Szczepana. Chrześcijanie zwykli nazywać ją Bramą św. Szczepana, ukamienowanego poniżej bramy miejskiej w Dolinie Cedronu. W bliskiej odległości od Bramy św. Szczepana jest kościół św. Anny, zbudowany w XII wieku przez krzyżowców na miejscu starszej świątyni z V wieku, stojącej – jak przekazywała tradycja – w miejscu domu Joachima i Anny, rodziców Marii, matki Jezusa. W XIX wieku został przekazany Francuzom, którzy przywrócili go do dawnej świetności.

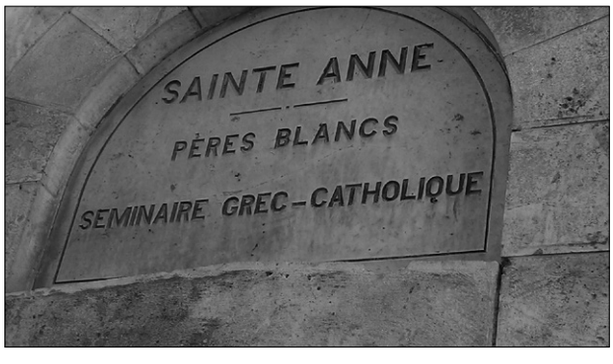

Bryła kościoła św. Anny jest zwarta, kanciasta i surowa, jak na architekturę krzyżowców przystało. Ściany pozbawione są ozdób. Po lewej stronie od wejścia znajduje się figura Św. Anny i Matki Bożej jako dziewczynki.

Kościół ma niezwykłą akustykę, o czym przekonaliśmy się śpiewając zaintonowaną przez księdza pieśń.

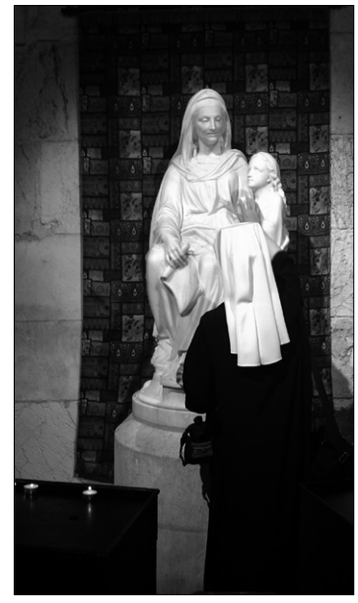

Obok kościoła znajdują się bardzo ciekawe ruiny starożytnej sadzawki Betesda, przy której Jezus uzdrowił chorego w szabat.

Po opuszczeniu kościoła św. Anny nasza grupa ruszyła w kierunku miejsca skąd Pan Jezus zaczął swą Drogę Krzyżową. Mieliśmy jako grupa nieść duży krzyż. Jednak nie udało się go dostać w to niedzielne

przedpołudnie, więc idąc śladami męki Pana Jezusa, mieliśmy pomyśleć o krzyżu, który każdy z nas dźwiga w swoim życiu.

Na początku Drogi Krzyżowej można było również kupić kieszonkowe wydanie Drogi Krzyżowej w j. polskim. Kolejne stacje były blisko siebie. Miejsce, gdzie biczowano Pana Jezusa, jest obecnie jakby schowane pod ziemią. Świadomość, że w tym miejscu On cierpiał za nas docierała chyba do każdego uczestnika naszej pielgrzymki.

Szliśmy b. wąskimi uliczkami, wznoszącymi się lekko pod górę. Ze względu na wczesną porę byliśmy sami lub mijali nas sprzedawcy przygotowujący się do otwarcia swoich sklepików. My przy każdej stacji zatrzymywaliśmy się i słuchaliśmy rozważań prowadzonych przez księdza Arkadiusza.

Stacje XII Ukrzyżowanie Pana Jezusa i XIII znajdują się już w Bazylice Grobu Pańskiego. Miejsce ukrzyżowania, Golgota, zrobiło na mnie wielkie wrażenie. Wielki Krzyż otoczony kadzidłami oświetlającymi to miejsce. Kilka osób z grupy łącznie z przewodnikiem przekazało wiadomość, że gdy Pan Jezus skonał, ziemia się zatrzęsła, a krew z krzyża spłynęła do szczeliny w skale, aż dotarła do czaszki Adama, co potwierdzają badania archeologiczne.

Ta wiadomość dotarła tu do mnie z wielką siłą. Wtedy dokonało się odkupienie winy Adama i grzechu pierwszych rodziców. Po indywidualnej modlitwie i ucałowaniu miejsca, gdzie zatknięty był krzyż, zeszliśmy niżej, gdzie wiele osób modliło się przy płycie z grobu. Płyta miała niezwykle piękny różany

zapach. Gdy się jej dotknęło, była wilgotna, jakby namaszczona olejkiem różanym. O godz. 10.00 mieliśmy Mszę Św. w Bazylice Grobu Pańskiego, a dokładnie w kaplicy franciszkańskiej.

Po Mszy ustawiliśmy się w kolejce do Bożego Grobu. Był wielki, wielojęzyczny tłum ludzi. Zaczęliśmy jako grupa razem odmawiać różaniec. Chyba ze 3 dziesiątki odmówiliśmy. Wejście do grobu jest niskie i trzeba się schylić, a w samym grobie naraz mogło być 5 osób.

Porządkowy pozwalał każdej piątce chwilę się pomodlić, ale potem głośno przypominał, że trzeba już wychodzić. Mimo niedzieli w grobie wykonywano jakieś prace, bo po naszym wyjściu przyniesiono wysoką drabinę. Niedziela nie jest dniem świątecznym dla Żydów i Muzułmanów.

Gdy wszyscy pomodlili się w miejscu Bożego Grobu, całą grupą poszliśmy do kaplicy św. Heleny, znanej z odnalezienia drzewa Krzyża św.

Po wyjściu z Bazyliki Grobu Pańskiego wracamy w okolice 4. stacji Drogi Krzyżowej, gdzie w sąsiedztwie kościoła ormiańskiego, w małej kawiarence, można było zamówić coś do jedzenia i picia.

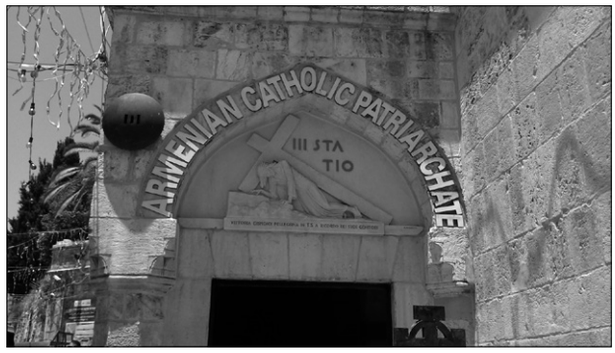

Po tej przerwie obiadowej przez Stare Miasto, o tej porze bardzo tłumne, kierujemy się do Ściany Płaczu. Przed wejściem na plac jest kontrola z prześwietlaniem torebek i plecaków. Ściana Płaczu to pozostałość po Świątyni Jerozolimskiej. Przy ścianie Żydzi zanoszą swoje modły do Boga, osobno mężczyźni (jarmułki są obowiązkowe), osobno kobiety. Modlitwy są zapisywane na karteczkach i wkładane między kamienie ściany.

Pomimo wielkiego upału przez Stare Miasto idziemy w kierunku Wieczernika.

Po drodze mijamy złotą Menorę, zwiedzamy Grób Króla Dawida (też osobno kobiety i osobno mężczyźni). Wieczernik jest dość duży, ale pusty. Tu znów spotykamy się z grupą profesora Waldemara Chrostowskiego i wspólnie słuchamy jego wypowiedzi. Wracając, podziwiamy pomnik króla Dawida

Kierujemy się w kierunku Bazyliki Zaśnięcia NMP, gdzie – oprócz symbolicznego zaśnięcia MB – jest obraz Maki Boskiej Częstochowskiej. W pobliżu jest parking. Stąd autokarem kierujemy się do Ain Karim, gdzie mieszkał Zachariasz z Elżbietą i gdzie narodził się Jan Chrzciciel. To Elżbietę odwiedza Maryja po zwiastowaniu, udając się do swej kuzynki pieszo (z Nazaretu jest ok. 120 km do Jerozolimy, a Ain Karim to prawie Jerozolima).

W Ain Karim jest kościół, a przed Kościołem na ścianie umieszczono w różnych językach świata Magnificat, który Maryja wypowiada wobec Elżbiety na powitanie. Na jednym z bocznych ołtarzy

siostra Elżbieta z naszej grupy mogła znaleźć podobiznę swojej patronki, co ponoć jest dość rzadkie. Wracając do hotelu na Górę Oliwną, podjeżdżamy autokarem pod Kneset, czyli żydowski parlament. Mijamy strażnicę z wartownikami i podchodzimy pod wielką menorę – dar narodu brytyjskiego dla narodu izraelskiego.

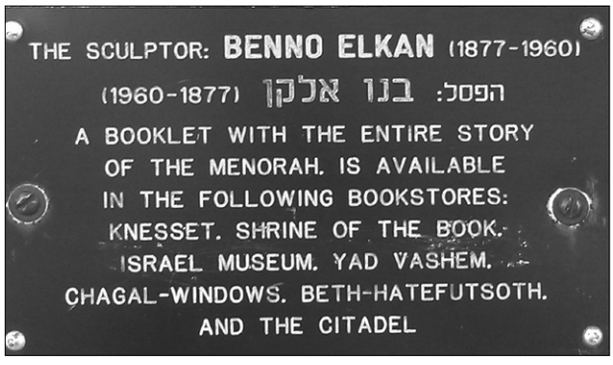

Dzień 7 - poniedziałek

Po spakowaniu się i sutym śniadaniu wyjazd do Betanii.

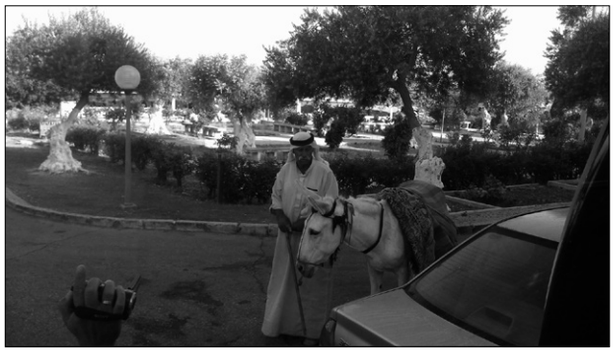

Przez hotelem Arab na wielbłądzie pozujący do pamiątkowych zdjęć, drugi sprzedający kaszmirowe szale różnych kolorów i trzeci sprzedający srebrne łańcuszki w bardzo przystępnych cenach. Betania znajduje się ok. 3 km. od Góry Oliwnej. Tu mieszkał Łazarz ze swoimi siostrami Marią i Martą. W Betanii jest symboliczny grób Łazarza. Tu można było kupić

ostatnie pamiątki. Mszę św. mamy w kaplicy krzyżowców przy kościele. Miejscowi sklepikarze proponują nam kawę do picia.

Wyruszamy w dalszą podróż. Po drodze postój w kibucu „z krowami" i oczywiście kąpiel w Morzu Martwym.

Przeprawa przez granicę trwała trochę krócej niż przy wjeździe do Izraela. Jeszcze słońce jest wysoko na niebie, gdy przyjeżdżamy do Nwueby, gdzie nas czeka dzień odpoczynku przed wyprawą na Górę Synaj.

Dzień 8 – wtorek

Po śniadaniu plażowanie i nabieranie sił przed wyjazdem na Górę Synaj. Morze jest ciepłe. Można też skorzystać z basenu. Co pewien czas podchodzi do nas zniszczona słońcem Beduinka, proponując kolorowe wisiorki, bransoletki i wyroby z muszli. Wzdłuż brzegu Beduin na wielbłądzie przejeżdża co jakiś czas. Na plaży są drewniane leżaki i wielkie słomiane zadaszenia.

Dzień 9 – środa

Na górę Synaj wyjeżdża nie cała grupa, ale tylko ta jej część, która czuje się na siłach, by iść na wysokość 2285m. Wyjeżdżamy o godz. 23.00. Ok. 1 w nocy jesteśmy już blisko klasztoru św. Katarzyny Aleksandryjskiej, nim do niego dojdziemy, przechodzimy przez kontrolę naszych bagaży.

Góra Synaj to poszarpany nagi masyw górski z szaroczerwonego granitu. W 2002 obszar ten został wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

Tradycyjnie utożsamiana z biblijną górą Synaj (Horeb), gdzie, według Starego Testamentu, Bóg Jahwe przekazał Mojżeszowi kamienne tablice z dziesięciorgiem przykazań i zawarł przymierze z narodem izraelskim.

W klasztorze św. Katarzyny odpoczywamy ok. 30 minut. Można się jeszcze przebrać. I ruszamy w drogę. Razem z nami wyruszają Beduini prowadzący wielbłądy i zachęcają nas, wołając „Camel, camel", abyśmy skorzystali z tego środka transportu. Wszyscy mamy latarki, jest bardzo ciemno, środek nocy. Do wschodu słońca jest ponad 3 godziny. Na początku ścieżka jest dość szeroka, wysłana drobnymi kamieniami, a camele wciąż nam towarzyszą. Im wyżej, tym ścieżka jest węższa, ale co jakich czas są miejsca, gdzie można odpocząć, dostać kawę, herbatę lub inny napój. Te „kawiarenki" mają bardzo skromny wystrój, lecz zapewne dla wielu są ratunkiem, jeśli nie zaopatrzyli się w napoje. Oferują też koce. Im wyżej, tym jest zimniej. Docieramy na szczyt, gdy jest jeszcze ciemno. Widać cokolwiek, choć nie z taką wyrazistością jak wtedy, gdy świeci słońce.

Tuż przed szczytem góry Synaj jest mała kapliczka zbudowana z kamienia. Czekamy na wschód słońca. Zdjęcia na pamiątkę pobytu tutaj, modlitwa indywidualna i zaczyna się zejście tą samą drogą, póki słońce jeszcze nie praży tak dotkliwie. Beduini, którzy nam towarzyszyli z wielbłądami, mieli twarze tak opalone, że aż brązowe. Wszyscy byli bardzo szczupli. Ubrani w białe długie szaty. Schodząc, rozproszyliśmy się trochę. Ja spotkałam małego beduińskiego chłopca, który prowadził na górę objuczonego zapasami do „kawiarenki" osła.

I druga zapamiętana po drodze osoba, żebrząca beduińska dziewczynka.

Gdy doszliśmy do klasztoru św. Katarzyny, upał dawał się bardzo mocno we znaki, mimo porannej godziny. Klasztor jest otwierany bodajże od 9.00 i do tej godziny czekaliśmy gdzie kto mógł. Od dziewiątej prawosławni otworzyli klasztor.

Nasz przewodnik pokazał nam najważniejsze obiekty. Pierwszą była studnia, przy której Mojżesz poznał swoją żonę. Ta studnia jest czynna do dnia

dzisiejszego i jest źródłem wody dla klasztoru i najbliższej okolicy. Zwiedziliśmy wnętrze prawosławnego kościoła. Widzieliśmy też gorejący krzew, przy którym modlił się Jan Paweł II w czasie swojej pielgrzymki. Ten krzew jest największą atrakcją klasztoru, bo to z niego Bóg przemawiał do Mojżesza.

Wracamy do autokaru i po 2 godzinach jazdy jesteśmy w Nuweibie. Tu pakujemy swoje bagaże i jedziemy do Sharm El Shaikh. Znów skaliste czarno-czerwone góry po jednej stronie i morze po drugiej. Egipski autokar ma zepsutą klimatyzację. Ostatni etap podróży to dosłownie gotowanie się w gorącu półwyspu Synaj.

Dni 10, 11, 12, 13, 14

W hotelu czeka nas 3-dniowy odpoczynek. Przedłuży się on do 5 dni z powodu napiętej sytuacji w Egipcie, a szczególnie w stolicy kraju – Kairze. Zagraniczne grupy bez zezwoleń nie mogą przemieszczać się do Kairu. W hotelu warunki mamy bardzo dobre.

Gospodarze pozwalają nam też codziennie odprawiać Mszę św. w dużym klimatyzowanym pomieszczeniu. Morze Czerwone jest ciepłe, a przy brzegu jest dużo raf koralowych i całe ławice kolorowych ryb.

Jest to duża atrakcja dla tych, którzy posiadają sprzęt do nurkowania.

Hotel ma swoją plażę z zapleczem, a na niej specjalne miejsca do leżakowania.

Mamy propozycje wycieczek po mieście i okolicach oraz pustyni.

Te do Kairu i Gizy nie doszły do skutku ze względu na zamieszki w całym Egipcie. Gdy grupa naszych

wróciła z wycieczki do miasta, byli rozczarowani tym, że wojsko nie pozwoliło im zobaczyć koptyjskiego kościoła. Postanowiłam więc udać się tam w takiej porze, kiedy jest odprawiana jakaś liturgia i będą wpuszczać. W hotelowej recepcji uzyskałam informację, że Mszą św. w języku angielskim będzie o godz. 7.00 w sobotę. Nie znalazłam więcej chętnych osób, bo część już się zapisała na godz. 10.00 na wycieczkę statkiem, aby oglądać rafy koralowe, a część, mając w pamięci wojskowe patrole, które pilnowały kościoła, po prostu trochę się obawiała i wolała nie ryzykować. W Sharm po prostu idzie się wzdłuż drogi i zatrzymuje przejeżdżające taksówki, które są specjalnie oznakowane. Na karteczce recepcjonista napisał mi po arabsku nazwę koptyjskiego kościoła, więc gdy tylko wsiadłam do zatrzymanej taksówki, podałam kierowcy tę karteczkę ten zawiózł mnie przed sam kościół, wielki i robiący wrażenie całego kompleksu już z zewnątrz. Zapłaciłam w euro, a resztę dostałam w egipskiej walucie. Kierowca był zainteresowany powrotnym kursem. Ustaliliśmy więc, że godz. 9.00 będzie najlepsza i odjechał. Zbliżyłam się do pierwszego patrolu przy bocznym, jak się potem okazało, wejściu. Gdy podeszłam blisko, okazało się, że żołnierz z karabinem w ręku siedział przy małym stoliku i zdrzemnął się tak, że nie mnie nie zauważył ani nie usłyszał „Good morning". Pomyślałam wtedy, jeśli przejdę obok i się obudzi to będzie nieciekawie. Więc stoję i czekam aż się ocknie. Na szczęście nie trwało to długo. Pokazał mi drzwi, gdzie mam się kierować, gdy mu wytłumaczyłam, co chcę. Osoba, która była w przedsionku (cywil), gdy wysłuchała, że chcę wziąć udział w liturgii, skierowała mnie do głównego wejścia kościoła. Minęłam więc „mojego" żołnierza i doszłam do wielkiego placu przed kościołem, na którym były 2 budki z żołnierzami. Ci nic mi nie mówili, więc kierowałam się do wejścia. Przy wejściu było 2 Koptów i jeden młody chłopak, wyglądał jak nastolatek o słowiańskiej urodzie, jak się później okazało z Ukrainy albo Białorusi. Wyglądało na to, że oprócz

patroli wojskowych kościoła pilnowali sami Kopci. I tu zaczęły się pytania, dlaczego chcę wejść. Starszy nie od razu wyraził zgodę. Powiedział coś o tym, że ich wyznanie różni się od katolików, ale ostatecznie pozwolono mi wejść za bramę – wprowadził mnie młody chłopak – i miałam czekać. Dziedziniec był duży, częściowo zadaszony. Przypominał nasze sanktuaria, gdzie przybywający mają możliwość usiąść, odpocząć, umyć się, skorzystać z toalety. Wyjęłam więc różaniec i zaczęłam się modlić. W pewnym momencie na dziedziniec wszedł żołnierz z patroli pilnujących kościoła na zewnątrz. Sprawiał wrażenie zaspanego. Skierował swe kroki do toalety, po kilkunastu minutach przyszedł drugi. W pewnym momencie Ukrainiec wprowadził na dziedziniec mężczyznę z włosami związanymi z tyłu. Przypominał mi Winnetou z serialu oglądanego w dzieciństwie. Usiadł przy jednym ze stolików, lecz dość szybko poderwał się i poszedł w kierunku kościoła. A ja, siedząc, podziwiałam z zewnątrz kościelne witraże, przedstawiające sceny ewangeliczne. Minęło chyba z pół godziny, gdy chłopak, który mnie wprowadził, podszedł i zaprowadził mnie do dolnego kościoła. Zaskoczyło mnie mnóstwo pięknych obrazów. Zapytałam, czy mogę robić zdjęcia. Pozwolił.

Obeszłam więc cały dolny kościół pstrykając zdjęcia urzekającym obrazom.

W centralnej części był obraz przedstawiający Jezusa Zmartwychwstałego, a po lewej stronie, gdzie była mała kaplica, przecudny obraz ze sceną Zwiastowania.

W tej właśnie kaplicy sprawowana była liturgia. Ale poprzedziło ją przygotowanie. Przyszedł mężczyzna, który uruchomił laptopa, włączył rzutnik, aby wyświetlać w języku angielskim wszystkie czytane teksty.

Prowadzący liturgię oraz ministranci byli boso. W czasie przygotowań zaczęli się schodzić ludzie, przeważnie mężczyźni, ale gdzieś od połowy Mszy św. zaczęły też przychodzić kobiety z małymi dziećmi (najwyżej 3 latka). Kobiety i małe dziewczynki miały głowy przykryte koronkowymi szalami. Ławki były takie, że można było siedzieć lub stać. Nie było specjalnych klęczników. Liturgię poprzedziła modlitwa, która przypominała jutrznię. Każdy dostawał do ręki teksty. Sama liturgia odbywała się bez pośpiechu, z wielką czcią i pobożnością prowadzący modlił się przy ołtarzu, a uczestniczący aktywnie odpowiadali lub śpiewali. Asystowali mu ministranci, których było kilku, nawet kilkunastu. Część pierwsza to liturgia słowa. Czytań było kilka (więcej niż u nas), a część z nich dotyczyła prześladowań chrześcijan. Pomyślałam wtedy, że te czytania są dla wszystkich słuchających je w kościele koptyjskim dużym umocnieniem w sytuacji prześladowań, których doświadczali w tych dniach w Egipcie i we wszystkich krajach, gdzie są muzułmanie. Gdy prowadzący wypowiadał modlitwę po konsekracji chleba i wina padły słowa o łączności z Apostołami, Maryją, a potem imię nieznanego mi patriarchy. Wtedy wiedziałam, że nie uznają Papieża. Niemniej cześć, jaką oddawali Maryi, jej wizerunki, które tam się znajdowały, świadczyły, że kościół rzymskokatolicki i koptyjski mają wiele wspólnego. Gdy nadszedł czas komunii, najpierw podano wino (u nas podawany jest konsekrowany opłatek). Prowadzący liturgię miał coś w rodzaju maleńkiej naleweczki. Asystujący przy ołtarzu chłopcy dostali je jako pierwsi, potem ustawiła się kolejka matek z dziećmi. Jako pierwsze w tej kolejce było dziecko jeszcze na rękach matki. Ono też otrzymało odrobinę wina. Pozostałe dzieci podchodziły samodzielnie. Za ławkami jedna z kobiet miała przygotowana kubki z wodą i podawała je wracającym od ołtarza dzieciom. Za dziećmi szli dorośli. Potem znów ustawiły się dzieci, aby otrzymać ciało Pańskie w postaci kawałka chleba (trochę przypominał mi ten chleb podpłomyki z dzieciństwa, wypiekane w piecu chlebowym).

W grupie uczestniczących w liturgii na końcu siedziała kobieta w średnim wieku urodą przypominająca Włoszkę. Nie podchodziła do komunii. Ja również nie. Natomiast po błogosławieństwie wszyscy, którzy byli w kościele, ustawili się ponownie w kolejce po niekonsekrowany chleb, który był w koszu i każdy dostawał po kawałku, a kobiety z dziećmi nawet po całym chlebku. I w takiej atmosferze dzielenia się chlebem i smakowania go (bo każdy ten chleb od razu zjadał) zakończyła się liturgia w kościele koptyjskim. Było ok. godz. 10.00.

Po zakończeniu zrobiłam kilka zdjęć na zewnątrz kościoła. Wyjątkowo prezentowały się ogromne zewnętrzne witraże. Również drzwi zewnętrzne do górnego kościoła otwieranego na większe uroczystości były ozdobione witrażami.

Chłopak z Ukrainy, bardzo skromnie ubrany, odprowadził mnie do miejsca, skąd odjeżdżają taksówki. Tego dnia nie załapałam się już na śniadanie w naszym hotelu – szwedzki stół. Musiały wystarczyć płatki owsiane z miodem i cytryną.

Tego dnia po południu nasza grupa miała spotkanie z rezydentem biura Alfa Star w Egipcie. Wyjaśnił nam, dlaczego niemożliwa jest wycieczka do Kairu oraz Gizy i zwiedzanie piramid czyli grobów faraonów. Wycieczka była planowana na niedzielę i poniedziałek z noclegiem w Kairze. Stąd mieliśmy 2 dodatkowe dni wolne do korzystania ze słońca i wody Morza Czerwonego.

W niedzielę siostra Elżbieta z naszej grupy poprosiła mnie, aby jej pokazać kościół koptyjski, więc mimo 40-stopniowego upału udałyśmy się w kierunku miasta. Była to okazja, aby zobaczyć Sharm el Shaik. Po drodze mijałyśmy m. in. meczet. Wstęp do meczetu były w tym czasie zabroniony z racji na trwający ramadan.

Gdy tylko się zbliżyłyśmy, usłyszałyśmy gromkie okrzyki połączone z wymachiwaniem rąk mężczyzny, który pilnował wejścia. Gdy się wycofałyśmy otoczyła nas grupka arabskich dzieci, które najwyraźniej oczekiwały słodyczy, których nie miałyśmy. Migdałami natomiast nie były zainteresowane. W pobliżu meczetu rosły piękne kwitnące na różowo krzewy, ale uszłyśmy kilka kroków i naszym oczom ukazał się widok bardzo zaśmieconych ulic. Naszym celem był kościół koptyjski z krzyżem, tak jak we wszystkich kościołach katolickich. Patrole wojskowe były przy kościele tak jak poprzedniego dnia. Również straż koptyjska miała swój dyżur przy samym wejściu.

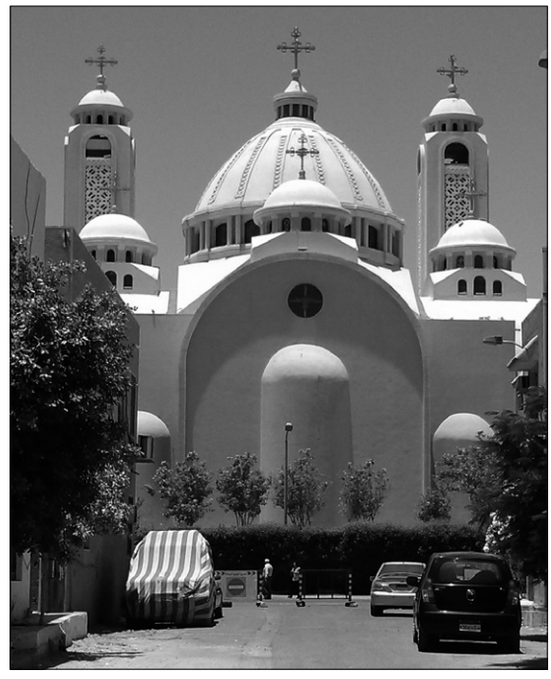

Tym razem skontrolowano zawartość naszych torebek, ale zostałyśmy wpuszczone na dziedziniec. Dotarłyśmy tu chyba około południa, w porze gdy skończyła się liturgia, bo sporo ludzi wychodziło już na zewnątrz. Niestety dolna kaplica była zamknięta. Siostra była niepocieszona. Był natomiast otwarty sklepik na dziedzińcu, gdzie można było zakupić różne pamiątki.

Ja kupiłam makatkę przedstawiającą walczącego Michała Archanioła. Gdy opuściłyśmy kościół koptyjski, skierowałyśmy się do kościoła katolickiego pod wezwaniem Królowej Pokoju. Ten był jeszcze w budowie. Dużo mniejszy od koptyjskiego, ale zapowiadający się bardzo dobrze. Również miał dwa poziomy, podobnie jak koptyjski.

Górna część nie była jeszcze wykończona, a w dolnej odbywały się już nabożeństwa. Gdy tam zeszłyśmy podszedł do nas człowiek ubrany w jasną tunikę, pilnujący kościoła i materiałów budowlanych zgromadzonych w pobliżu.

Powiedział, że zadzwoni do Father'a, po czym to zrobił i oddał nam słuchawkę. Proboszcz zaprosił całą grupę na Mszę św. niedzielną w języku angielskim na godz. 19.00. W dolnej kaplicy było nawet zdjęcie proboszcza z naszym papieżem Janem Pawłem II, zrobione prawdopodobnie na audiencji w Rzymie. Po krótkiej modlitwie opuściłyśmy kościół i udałyśmy się również piechotą w drogę powrotną, idąc chodnikiem wzdłuż dwupasmowej drogi biegnącej wzdłuż wybrzeża i odmawiając różaniec. Nagle patrzymy jak jeden z samochodów na drugim pasie zatrzymuje się i wybiega z niego mężczyzna w średnim wieku i biegnie w naszym kierunku, po czym wita się z siostrą i przedstawia się, że jest proboszczem z tego kościoła, który właśnie zwiedzałyśmy. Zaproponował nam podwiezienie do hotelu. Jadąc, dowiedziałyśmy się, że studiował w Rzymie, znał polskich profesorów i był rodowitym Egipcjaninem.

Jeszcze raz zaprosił nas na Mszę św., więc obiecałyśmy, że zbierzemy chętnych z naszej grupy i na następny dzień przyjechaliśmy wynajętym busem już większą grupą. Odmówiliśmy wspólnie koronkę do Bożego Miłosierdzia. Wtedy mieliśmy okazję widzieć wojskowe patrole również na ulicach i nasz kierowca wybrał nawet inną trasę, gdy wracaliśmy do hotelu. Był to ostatni pełny dzień naszego pobytu w Sharm.

Dzień 15 - powrót do Polski

We wtorek był już powrót, więc większość spędzała ten czas w hotelu, przygotowując się do odlotu. Jednak w kilka osób postanowiłyśmy i tego ostatniego dnia hotelowym busem udać się nad morze. Tu jeszcze ostatnie pożegnania z tymi, których choćby z widzenia już się znało, bo hotel mający prywatną plażę swoich gości wiózł zawsze w to samo miejsce. Powrót do hotelu był już na piechotę. Tu mieliśmy ostatnią na ziemi egipskiej pielgrzymkową Mszę św. Ksiądz Arkadiusz poświęcił wszystkie zakupione przez nas pamiątki religijne. Później były pożegnania. Rozpoczął je nasz przewodnik, a potem indywidualnie podchodziło się do poznanych z grupy osób, aby powiedzieć i usłyszeć kilka miłych słów. Na lotnisku na te pożegnania nie byłoby już czasu, więc chwilę po zakończeniu dziękczynienia po Mszy św. nasz przewodnik przeznaczył właśnie na to. Po zapakowaniu bagaży do autobusu ruszyliśmy na lotnisko. Odprawa przebiegła sprawnie. Po 4 godzinach lotu byliśmy w Warszawie.

Ogłoszenie przez Papieża Benedykta XVI roku 2013 rokiem wiary sprawiło, że zakiełkowała we mnie myśl, aby udać się w pielgrzymce do Ziemi Świętej, Ziemi Jezusa. Ten pomysł Pan Bóg pozwolił zrealizować, stąd relacja. Po powrocie kilkanaście razy pokazywałam znajomym zdjęcia z pielgrzymki, więc dzień po dniu ten czas utrwalił się w pamięci i jednocześnie przychodziła myśl, czemu tak późno się wybrałam, bo dopiero gdy Ojciec święty zachęcił, aby coś szczególnego zrobić w Roku Wiary dla pogłębienia i umocnienia swojej wiary. Mówi się, że Ziemia Święta to piąta ewangelia, obok tych spisanych przez Mateusza, Marka, Łukasza i Jana. Po pobycie tam inaczej już słucha się tekstów Pisma św. czytanych w kościele czy odmawia różaniec, bo bardzo często przychodzą na myśl obrazy, które człowiek widział. Zachęcam każdego, kto jeszcze nie pielgrzymował do Ziemi Świętej, aby modlić się o łaskę bycia tam, a Pan Bóg zapewne pomoże ją zrealizować. Dziękuję wszystkim pielgrzymującym ze mną za decyzję pielgrzymowania z franciszkańskim biurem podróży Patron, za dawanie żywego świadectwa swojej wiary.

W artykule wykorzystano fragmenty informacji z Wikipedii

Ryszard Grelewski

KILKA SŁÓW O POŁANIECKIEJ SŁUŻBIE ZDROWIA

(list od Czytelnika)

Z przyjemnością oglądałem publikację „Z albumów rodzin połanieckich". Muszę przyznać, że kosztowało to Pana dużo poświęceń, czasu i pracy, jak też pomocy, w tym babci Anieli Korczak, którą osobiście znałem, gdyż kolegowała się z moją siostrą Kazimierą Grelewską, bywając w grupie koleżanek biorących udział w szkoleniu sanitariuszek Armii Krajowej w naszym byłym domu przy ul. Krakowskiej. Album ten pokazał przeszłość wielu dziadków, ojców, wnuków, czy jeszcze żyjących osób. (…) W moim umyśle z tych lat utrwaliło się jeszcze wiele innych postaci, bardzo zasłużonych dla Połańca, które miały duży udział w uświadamianiu ludności, a zwłaszcza młodzieży szkolnej, o rozwoju Połańca i okolic od czasów osady, gminy, miasta. Dziś można powiedzieć dużego miasta. Był to mój szkolny kolega Kazimierz Warchałowski, który podczas okupacji uczęszczał na lekcje tajnego nauczania wraz z moim bratem Stanisławem Grelewskim i Eugeniuszem Tarnowskim. Kazimierz to wielki działacz społeczny, starający się przez wiele lat o dobro gminy i miasta Połaniec. Wielki historyk i nauczyciel. Przez wiele lat byliśmy ministrantami w połanieckim kościele. Moim zdaniem o nim, jak też koledze szkolnym Mieczysławie Tarnowskim, warto wspominać. Chciałbym również przywrócić pamięci postać mojej mamy, położnej w Połańcu, Stanisławy Grelewskiej, pracującej od 1934 roku dla służby zdrowia i społeczeństwa.

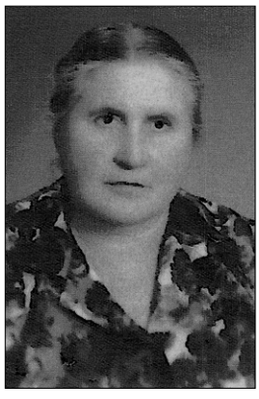

Stanisława Grelewska

Przygotowywała ona przyszłe matki do porodu, a potem wychowywania niemowląt w Połańcu, Ruszczy i innych miejscowościach. Do tego zawodu była przygotowana po 2-u letniej Państwowej Szkole Położnych w Krakowie, do której trafiła z majątku Ruszcza za namową Pań Knothe, które uważały, że jest „zdolna, ładna i będzie potrzebna dla rodzących matek". Szkołę tę ukończyła z wynikiem celującym i zaraz po szkole weszła w życie służby zdrowia. (Po zakończeniu szkoły Pan Knothe ufundował jej torbę z kompletnym zestawem narzędzi potrzebnych w przyszłej pracy). Współpracowała z felczerem, a potem lekarzem zatrudnionym przed końcem 1939 r. Mieczysławem Bernackim, który był położnikiem – ginekologiem.

Mama poświęciła się swojemu zawodowi i nie tylko, bo wykonywała również szereg obowiązków lekarskich. Podczas okupacji wraz z lekarzem zajmowali się wieloma chorobami, a nawet ranami postrzałowymi partyzantów. Operacje odbywały się przy lampie naftowej lub karbidówce w gabinecie lekarza, w domu w rynku. Porody odbywały się w domach rodzących matek, a ze wsi przysyłano furmankę. Od tego czasu

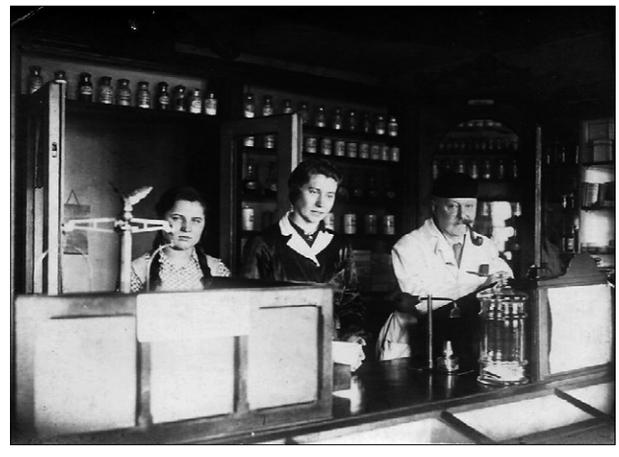

Apteka „Pod Białym Orłem" Kazimierza Sachnowskiego

znikły tzw. „babki odbierające porody". W tym czasie musiała również przyjmować porody matek pochodzenia żydowskiego. Podczas okupacji w roku 1943, wracając z Rudnik od porodu furmanką, zauważyła wyjeżdżających od bramy cmentarza żandarmów i byłych policjantów z Połańca. Podchodząc do bramy „osieckiego" cmentarza (bo na ul. Osieckiej) zauważyła dwóch chłopców przywiązanych do grubego drzewa. Byli to bracia Jarzynowie. Widok straszny, bo – jak mówiła – z jednego jeszcze buchała krew. Od strzałów oprawców niemieckich zginęli młodzi, niewinni chłopcy. Starszy, Eugeniusz, był kolegą mojej siostry Kazimiery, a młodszy, Edmund, moim kolegą. Trzecia zastrzelona osoba leżała obok (przyp. Piotr

Sojda). Wiele osób zginęło z rąk Niemców, wskazanych przez dawnych policjantów czy konfidentów, którzy współpracowali z żandarmerią z posterunków Rytwian i Staszowa. Niektórzy zasłużyli na wyroki śmierci wykonane przez partyzantów. Rodzina Państwa Jarzynów bardzo przeżyła tak tragiczną śmierć synów. Pozostał jedyny ich syn Lucjan, który po maturze studiował razem z kolegami w Wyższej Szkole Ekonomicznej we Wrocławiu. Byli to: Zdzisław Wałcerz i Eugeniusz Tarnowski oraz mój brat, który wybrał inny kierunek – stomatologię na Akademii Medycznej. Studiowali w bardzo trudnych warunkach w zniszczonym wojną Wrocławiu. Często wraz z profesorami odgruzowywali swoje uczelnie, ulice, czy sadzili drzewa. Po studiach Lucjan Jarzyna i Zdzisław Wałcerz otrzymali nakaz pracy w Lublinie, Eugeniusz Tarnowski w Kielcach, jako Główny Księgowy i Rewident, mój brat Stanisław powrócił do Połańca na etat stomatologa, a ja pozostałem we Wrocławiu. Lucjan Jarzyna mieszkał w naszym mieszkaniu i wszyscy bardzo często mieszkali u nas.

Mama niebezpieczny okres przeżyła podczas tyfusu plamistego. Czasowy szpital dla chorych na tyfus znajdował się w szkole podstawowej przy ul. Staszowskiej i w remizie strażackiej na połanieckim rynku. Dla bezpieczeństwa mieszkańcy rozwieszali duże plakaty z napisem „Tyfus Plamisty", w widocznych miejscach, aby odstraszyć Niemców, którzy wybierali się aresztować konspirantów z AK i BCH lub ściągnąć kontyngenty. Była to praca niebezpieczna, konspiracyjna, o której miejscowi byli partyzanci zapomnieli. Z jej inicjatywy otworzono po remoncie budynku za kościołem Izbę Porodową przy Przychodni Lekarskiej. Izba Porodowa miała kilka łóżek. Salę porodową oraz zaplecze kuchenne, pralnię i sanitariat. Pracowało tam, oprócz mamy – położnej – 4 osoby. Za całokształt i duży wkład pracy otrzymała Złoty Krzyż Zasługi, który wręczył jej osobiście w Belwederze premier Józef Cyrankiewicz. W Ośrodku Zdrowia przy Izbie Porodowej pracowało przez ten czas kilku lekarzy, w tym nowo upieczony lekarz połaniecki po studiach medycznych w Łodzi – dr Janusz Gil.

Rozrost ludności przybywającej do budowy elektrowni zmusił władze gminy i pracujących lekarzy, przy udziale elektrowni, do wybudowania Ośrodku Zdrowia przy ul. Ruszczańskiej, który był z wszystkimi wygodami, gabinetami wg ich potrzeb specjalistycznych. W tym ośrodku rozpoczął pracę dr Janusz Gil, mój brat Stanisław Grelewski po studiach stomatologicznych, który dotychczas pracował

Dr Janusz Gil w nowym budynku Ośrodka Zdrowia

Ośrodek Zdrowia na ul. Ruszczańskiej przed otwarciem

w wynajętych gabinetach, oraz jego żona, również po studiach stomatologicznych w Łodzi. Po ukończeniu tego budynku zamieszkali tam, w przygotowanych mieszkaniach: dr Janusz Gil oraz stomatolog już Anna Grelewska (z d. Jańczuk). Anna Grelewska odpowiadała za uzębienie dzieci szkolnych, które wymagały natychmiastowego leczenia i kontroli lekarskiej w gabinecie. O dalszy rozwój służby zdrowia zadbała budowana Elektrownia Połaniec, do której napłynęło wielu robotników, czy inżynierów z rodzinami. Przychodnia ta wybudowana została z wszystkimi specjalizacjami, tuż przy elektrowni. Pomocą dla służby zdrowia w Połańcu był w dalszym ciągu szpital i pogotowie w Staszowie. Znana ze swojej działalności w służbie zdrowia i pracy społecznej Stanisława Grelewska przeszła na zasłużoną emeryturę, otrzymując wcześniej Kawaleryjski Krzyż Zasługi Odrodzenia Polski oraz regionalne odznaczenia służby zdrowia. Cały czas pomagała jeszcze potrzebującym. Potem przeniosła się z dziećmi do Kielc. Mając dobrą opiekę dzieci, zmarła w wieku 91 lat. Pochowana została na

Ośrodek Zdrowia w Połańcu

cmentarzu w Górce w Połańcu, obok swojego męża Juliana, który zmarł wcześniej. Julian Grelewski był również zasłużony dla miasta jako mistrz ślusarsko-kowalski. Pracując wiele lat w majątku w Ruszczy i w Połańcu przysposobił do zawodu wielu czeladników. Małżeństwo to pozostawiło po sobie troje dzieci – obecnie na emeryturach.

Nie sposób nie wspomnieć też o mgr farmacji, Pani Strzemiecznej, która wraz z mężem prowadziła jedyną w Połańcu aptekę. Właśnie z tym państwem mama współpracowała, gdy w Połańcu nie było lekarza w czasie okupacji i wcześniej. Razem rozpatrywały chorobę, a pani Strzemieczna przygotowywała leki. Chorzy byli jej wdzięczni, ponieważ oprócz prowadzenia apteki i porad lekarskich, przygotowywała leki nawet w porze nocnej, mieszkając na zapleczu apteki. Nieocenioną osobą w tym czasie był również uzdrowiciel, felczer pochodzenia żydowskiego, na którego mówiono „Kaczka". W dużym stopniu leczył i przynosił ulgę chorym pochodzenia żydowskiego. Czasami też wyrywał zęby. W tej dziedzinie jednak bardzo ważna była praktyka stomatologa pana Mieczysława Korczaka, który leczył przyjmując pacjentów w gabinecie domu rodziców przy ulicy Ruszczańskiej.

Siedzą od lewej: Stanisław Grelewski, Ryszard Grelewski, Lucjan Jarzyna. Na zdjęciu brakuje Eugeniusza Tarnowskiego i kolegi z roku Zdzisława Wałcerza, który po studiach był w Lublinie i po ciężkiej chorobie zmarł młodo.

Pisząc o służbie zdrowia w Połańcu, nie sposób nie wspomnieć o służbie weterynaryjnej, którą reprezentował jedyny na tę okolicę weterynarz pan

Ryszard Grelewski i Lucjan Jarzyna

Edward Buda. Był to ojciec mojej koleżanki szkolnej Bogusi. Weterynarz miał wtedy pełne ręce roboty. Wzywany był do cielących się krów, źrebienia się klaczy, chorych zwierząt, badania mięsa poubojowego w domach czy jatkach, których właścicielami byli przeważnie żydzi zajmujący się ubojem i sprzedażą mięsa koszernego. Nadzorował również sprzedaż zwierząt sprzedawanych na targach wtorkowych przy tzw. kierkucie. Pan Buda mieszkał w dużym domu na rogu rynku przy ulicy Krakowskiej. Mając duże pomieszczenia, wynajmował je na potrzeby jednej klasy szkoły podstawowej oraz na pokój, w którym mieszkała pani Janina Korpanty, nauczycielka tejże szkoły. W czasie okupacji uczęszczałem do niej na

lekcje konspiracyjne z geografii i przyrody w zakresie szkoły średniej. Pokój ten miał okno na rynek. Pamiętam, że był wtorek, dzień targowy 31 grudnia 1943 r. – zakończenie roku mszą w kościele. Z panią Janiną obserwowaliśmy rynek, który otoczyli partyzanci (byli to Jędrusie). W jednej z akcji złapali dwóch złodziei rabujących mieszkańców i podszywających się pod partyzantów. Widziałem, jak obydwaj rabusie skaczą, trzymając nad głowami krzesła, a twarze pomalowane mieli czerwoną pastą. Spodnie mieli opuszczone i w goły tyłek dostawali cięgi, krzycząc „kradłem, ale się poprawię". Temu widowisku przyglądali się zgromadzeni ludzie z Połańca i przyjezdni z targu. Na rynek przywieźli ich skradzione rzeczy, które były rozpoznawane i zabierane przez pokrzywdzonych.

PS.

Wspomnienia o mojej mamie, w tym o śmierci braci Jarzynów, pisałem przed otrzymaniem Zeszytów Połanieckich nr 24/2013. W Zeszytach tych są również wspomnienia o tej zbrodni w jej 70. rocznicę, przesłane przez panią Iwonę Jarzynę-Manel, córkę Lucjana. Ponieważ znaliśmy się z Lucjanem, będąc na studiach we Wrocławiu razem z kolegami z Połańca, przesyłam posiadane zdjęcie z Lucjanem. Pani Iwonie przesyłam tą drogą wyrazy współczucia.

Zespół Redakcyjny

POŻEGNANIE JÓZEFA KORCZAKA

13 maja 2014 roku zmarł honorowy obywatel Połańca i członek naszego Towarzystwa, Józef Korczak. Był wielkim patriotą i autorem artykułów wydawanych na łamach „Zeszytów Połanieckich", w których starał się uchronić przed zapomnieniem ludzi i zdarzenia, dzięki którym dziś dumnie nazywamy się Polakami. Do ostatnich dni oddany był dewizie: Bóg, Honor i Ojczyzna, w prawdziwym tych słów znaczeniu.

Pan Józef Korczak wsród przyjaciół z TK w Połańcu

Prywatnie był człowiekiem bardzo ciepłym i rodzinnym. Jako pediatra z powołania, bardzo lubił dzieci i zawsze obdarowywał je słodyczami i drobnymi prezentami. Jego takt i kultura osobista dla każdego mogły być wzorem do naśladowania.

Pogrzeb odbył się w sobotę 17 maja o godz. 13.00 w kościele pw. MBWW w Połańcu.

Poniżej prezentujemy życiorys Pana Józefa i kilka wspomnień o tym niezwykłym człowieku.

JÓZEF KORCZAK – urodził się 23 marca 1923 r. w Połańcu jako syn Marcina Korczaka, sekretarza gminy i działacza społecznego, oraz Marianny z Kosowiczów (z Żapniowa). Uczęszczał do 6-klasowej Szkoły Powszechnej w Połańcu, a następnie do Gimnazjum im. S. Konarskiego w Mielcu. Po ukończeniu pierwszej klasy gimnazjum w Mielcu i wybuchu II wojny światowej w 1939 r. kontynuował naukę na kompletach tajnego nauczania. Po 3 klasach kompletów zdał tzw. „Małą Maturę". Zajęcia w czasie okupacji odbywały się w Połańcu, na Winnicy lub na Podskalu, a wykładowcami byli m.in. ks. Julian Jarzyna, pan Trojnar czy pani Korpanty.

Jesienią 1942 r. wstąpił do tworzącego się w Połańcu oddziału Batalionów Chłopskich, którego komendantem był ppor. Czesław Kubik. Ukończył wtedy Kurs podoficerski, a następnie wraz z 5 kolegami wytypowany został na 3-miesięczny skoszarowany Kurs Podchorążych BCH Obwodu Sandomierskiego, uzyskując stopień plutonowego podchorążego BCH. Kolejny Kurs prowadził wraz z kuzynem Mieczysławem Korczakiem, już jako instruktor. Ze względów bezpieczeństwa zajęcia odbywały się za każdym w innym miejscu, przeważnie w okolicach Sulisławic. Po zakończeniu szkoleń otrzymał przydział do placówki BCH w Tursku, jako zastępca dowódcy byłego „Jędrusia" ps. „Marian", zwanego też ze względu na posturę i siłę „Marianem Wielkim". Uczestniczył w tym czasie w wielu akcjach, m.in. w ataku na posterunek policji w Bogorii, w Staszowie, na majątek w Kiełczynie, czy przy zabezpieczaniu mostu w Szczucinie podczas akcji „Burza".

1 sierpnia 1944 r. po wejściu wojsk rosyjskich do Połańca otrzymał informację o rozwiązaniu oddziału i potrzebie zgłoszenia się do Sandomierza, gdzie tworzyć się miało nowe wojsko polskie. Miało to ochronić byłych partyzantów przed aresztowaniami przez NKWD. Z Sandomierza trafił z wojskiem do Lublina, a następnie wziął udział w pierwszej defiladzie, jaka odbyła się w Warszawie w styczniu 1945 r. Z Warszawy jednostka skierowana została do Nowego Tomyśla, gdzie po wielu politycznych perturbacjach udało mu się z niej wystąpić.

Po powrocie z poznańskiego podjął ponownie naukę w trybie eksternistycznym, w Gimnazjum w Mielcu na kierunku humanistycznym, kończąc je w czerwcu 1946 r. „świadectwem dojrzałości'.

Kolejnym etapem edukacji były zdane egzaminy i studia na Wydziale Stomatologii Uniwersytetu Łódzkiego (w tym samym czasie inni połańczanie również rozpoczęli tam studia. Na stomatologii: Zygfryd Korczak i Zbigniew Jańczuk, na prawie – Mieczysław Korczak, a na chemii – Antoni Warchałowski). Po zakończeniu studiów w 1951 r. wziął ślub ze studentką stomatologii Danutą Mroziak, z którą następnie wyjechał do Szczecina. Tam pracował jako asystent na Wydziale Lekarskim Pomorskiej Akademii Medycznej. W Szczecinie w 1952 r. urodziła się też jego córka Małgorzata. Od 1958 r. pracował jako stażysta w szpitalach w Łodzi, uczęszczając jednocześnie na studia podyplomowe na specjalizacji pediatria. Następnym etapem życia była praca w Szpitalach Psychiatrycznych w Zielonogórskiem i w Węgorzewie. Dopiero w Płocku podjął dłuższą, bo 7-letnią pracę w nowo powstałym Szpitalu Wojewódzkim w Płocku. Tam też złożył egzaminy ze specjalizacji pediatria. Ostatnim etapem kariery lekarskiej Józefa Korczaka była Warszawa, gdzie od 1980 r., aż do emerytury w 1991 r. pracował jako pediatra w Wojewódzkim Szpitalu Dziecięcym na Pradze.

Po przejściu na emeryturę zdał egzamin na ponowne prawo wykonywania zawodu stomatologa i rozpoczął pracę w prywatnym gabinecie w Warszawie (na Gocławiu na ul. Umińskiego). Pełnił również w tym czasie dyżury w Szpitalu Wojewódzkim na ul. Niekłańskiej.

W lipcu 2001 r. przeniósł się do rodzinnego Połańca. Od tego czasu aktywnie uczestniczył w życiu kulturalnym miasta, działając w Zarządzie Stowarzyszenia Kombatantów „Jędrusiów" Żołnierzy Armii Krajowej, ich rodzin i sympatyków w Połańcu oraz Towarzystwie Kościuszkowskim. W 2013 roku został Honorowym Obywatelem Połańca.

Pożegnanie Pana Józefa Korczaka przez uczniów i pracowników Zespołu Szkół w Połańcu

Pogrążeni w żalu przekazujemy informację, że wczoraj, tj. 13 maja 2014 r., po długiej i wyczerpującej chorobie zmarł dr Józef Korczak „Gerwazy", połańczanin związany z Oddziałem Partyzanckim AK „Jędrusie" – wielki przyjaciel i dobry duch Zespołu Szkół w Połańcu.

Pan Józef Korczak walczył w czasie II wojny światowej w Batalionach Chłopskich, wykazując się – mimo młodego wieku – wielką odwagą i poświęceniem. Po wojnie zdobył wyższe wykształcenie lekarskie i został stomatologiem, choć jego prawdziwą pasją była pediatria – której poświęcił wiele lat ze swej aktywności zawodowej.

„Gerwazy" działał też społecznie – był jednym z założycieli Stowarzyszenia Kombatantów „Jędrusiów", Żołnierzy Armii Krajowej, ich Rodzin i Sympatyków, a także wieloletnim członkiem Towarzystwa Kościuszkowskiego w Połańcu. Napisał i opublikował liczne artykuły – m. in. na łamach „Odwetu" i „Zeszytów Połanieckich". W swych tekstach ocalał od zapomnienia postaci i wydarzenia związane z walką o niepodległość Polski.

Za wzorową postawę podczas II wojny światowej, a także za działalność powojenną Rada Miejska w Połańcu przyznała mu w 2012 r. tytuł Honorowego Obywatela Miasta.

Zapamiętamy Pana Józefa jako człowieka o wielkiej kulturze osobistej, zawsze pogodnego i życzliwego wobec innych, potrafiącego wspaniale opowiadać o czasach II wojny światowej.

Rodzinie i bliskim zmarłego składamy pełne głębokiego współczucia kondolencje.

Dyrekcja, Pracownicy i Uczniowie
Zespołu Szkół w Połańcu

Wujek Józef

Na koniec i ja, jako redaktor naczelny „Zeszytów Połanieckich", chciałbym poświęcić kilka słów Panu Józefowi, który wprawdzie nie był ze mną związany rodzinnie, ale stał się dla mnie bardzo bliską osobą.

Poznałem Pana Józefa przed dekadą – dzięki temu, że pracuję jako nauczyciel w Zespole Szkół w Połańcu. Pamiętam, że „Gerwazy" był częstym gościem w mojej szkole. Szczególnie owocna była Jego współpraca z Panią mgr Grażyną Gad – wspaniałą historyczką, która założyła w placówce Izbę Pamięci poświęconą patronującym szkole „Jędrusiom" i prowadziła ją przez wiele lat. Do dziś mam przed oczyma wspólne zmagania Pana Józefa i Pani Grażyny z kolejnymi akademiami, odczytami i wieczorami poetyckimi, które zawsze były profesjonalnie przygotowane i cieszyły się znakomitymi opiniami odbiorców.

W związku z akademiami, które odbywały się w mojej szkole z udziałem „Gerwazego", pamiętam anegdotyczne zdarzenie, doskonale oddające charakter Jego osoby. Przed kilkoma laty Pan Józef był w szkole na akademii przygotowanej z okazji Narodowego Święta Niepodległości. Pamiętam, że siedziałem wtedy na widowni tuż obok Niego – jako osoba bardzo już wtedy zżyta z „naszym" partyzantem. Kiedy uroczystość zakończyła się, po burzy braw – zresztą całkiem zasłużonych, bo młodzi aktorzy i ich opiekunowie spisali się na medal – poprosiłem „Gerwazego" o opinię odnośnie obejrzanego widowiska. Pan Józef powiedział: „Jestem zachwycony, Panie Marku, tylko niech Pan koniecznie powie dziewczynce, która tak znakomicie zagrała rolę nastoletniej partyzantki, żeby zgłosiła się do specjalisty, bo ma dość głęboką wadę postawy, która może w przyszłości utrudniać jej życie"… Tak, dusza pediatry z powołania nie mogła przejść obojętnie obok sprawy tak kluczowej, jak wada postawy młodego człowieka.

„Gerwazy"

Silne więzi między mną a Panem Józefem zawiązały się, kiedy zostałem „naczelnym" Zeszytów. Pan Józef był członkiem redakcji, który rozumiał, że to od nas w dużej mierzy zależy, czy zdołamy ocalić od zapomnienia dokonania „Jędrusiów", ale też wszystkich innych walczących o wolną Polskę, dlatego pisał dużo i z ogromnym poświęceniem, nawet wtedy, kiedy zdrowie zaczęło poważnie szwankować. Z tytułu współpracy bywałem u Niego w mieszkaniu – przyjmował mnie zawsze serdecznie i z wielką klasą. To był dżentelmen w każdym calu. Nigdy nie pozwolił sobie na przykład na to, by przyjąć gościa, będąc nieodpowiednio ubranym czy nieogolonym. Szacunek dla gościa nie pozwalał Mu na to. Moje wizyty u Pana Józefa

zawsze kończyły się w ten sam sposób – najpierw załatwialiśmy sprawy związane z Zeszytami, a później – przy kawie czy herbacie – rozmawialiśmy wiele godzin na przeróżne tematy. Te rozmowy pozwoliły mi poznać „Gerwazego" bliżej – to był wielki patriota, który nade wszystko ukochał Polskę i Polaków. A przy okazji był niezwykle ciepłym, uczciwym człowiekiem, jednak upartym w dążeniu do celu.

Wiem, że Pan Józef znakomicie grał w szachy, jednak nigdy nie odważyłem się z nim zmierzyć, choć ta gra to jedna z moich pasji. Zdawało mi się zawsze, że nie przystoi mi – amatorowi – grać z kimś, kto potrafił pokonać przeciwników z kategorią mistrzowską. Teraz trochę tego żałuję, bo „Gerwazy" wielokrotnie zachęcał mnie do stanięcia z nim w szranki.

„Gerwazego" zapamiętam jako wujka Józefa. Pamiętam, że kiedyś wyrwało mi się takie właśnie określenie w Jego obecności, a On wyraźnie się ucieszył. Od tego momentu już zawsze mówiłem do Niego – wujku.

Żegnaj wujku Józefie – Cześć Twojej Pamięci!

Redakcja
„Zeszytów Połanieckich"

Alisa Udodik

POCZTÓWKA Z POLSKI

Nazywam się Alisa Udodik, jestem Rosjanką, a na świat przyszłam w Tomsku. W moich żyłach płynie jednak polska krew, gdyż moi rodzice mają polskie korzenie. W zeszłym roku otrzymałam stypendium RP, a wraz z nim możliwość studiowania w Polsce. Bardzo ucieszyłam się z tego powodu, jak również z faktu, że kurs przygotowawczy, jaki jest obowiązkowy dla wszystkich, którzy otrzymali stypendium, będę miała we Wrocławiu. Cały rok musiałam poświęcić na naukę języka polskiego i polskiej kultury. Wrocław okazał się gościnnym i fascynującym miastem.

Od pierwszego dnia pobytu we Wrocławiu pragnęłyśmy poznać to piękne polskie miasto. Długo spacerowałyśmy, robiłyśmy wiele zdjęć, żeby pokazać rodzinie i przyjaciołom w Rosji, gdzie mieszkamy. Wrocław to miasto słynące z bogatej historii – i można zobaczyć to od razu. Architektura, parki, dużo zabytków, które mają wartość nie tylko dla mieszkańców Wrocławia, ale i dla całej Polski. Warto zwiedzić wiele muzeów pokazujących, jak wiele zrobiono, żeby Wrocław stał się polskim miastem. Zachwyciła mnie Panorama Racławicka, która z takim wielkim trudem była zdobyta dla miasta. Zabytki, muzea opowiadają o mieście lepiej niż jakiekolwiek słowa.

Teraz studiujemy na Politechnice Wrocławskiej. Codzienne mamy 4 godziny języka polskiego, ale też zajęcia z zakresu nauk humanistycznych i politechnicznych. Niestety, mamy za dużo wolnego, ale możemy wykorzystać go dla samokształcenia. Ja np. zajmuję się językiem niemieckim, którego uczyłam się jeszcze w rosyjskiej szkole.

Jednak miałam okazję odwiedzić również Połaniec. Pojechałam tam z koleżanką Swietłaną, której rodzice mieszkają w tym mieście. Byłam zachwycona tym małym, ale pięknym grodem. Szczególnie podobało mi się, że miasto jest czyste i zadbane, oferuje także wiele rozrywek. Dzięki Markowi i Radkowi z Towarzystwa Kościuszkowskiego poznałam historię Połańca, a także wiele dowiedziałam się na temat bohatera narodowego Polaków – Tadeusza Kościuszki. Zostałam także zapoznana z ciekawszymi miejscami związanymi z historią Połańca. Za umożliwienie mi zwiedzenia tych wszystkich pięknych miejsc – serdecznie dziękuję.

Było dla mnie bardzo interesującym doświadczeniem dowiedzieć się, jak wygląda polska rodzina i jakie ma tradycje. Świętowaliśmy razem Dzień Wszystkich Świętych. Mieszkając razem z młodzieżą z różnych krajów w akademiku, nie możemy dobrze poznać tradycji polskich. Było to więc dla mnie bardzo ciekawe przeżycie.

Myślę, że życie w Polsce i Rosji różni się od siebie, ale też mamy wiele rzeczy, które nas łączą. Mam nadzieję, że to pomoże Rosjanom i Polakom pozostać przyjaciółmi, mimo sporów toczących się w świecie wielkiej polityki.

Marek Pedyński

OPOWIEŚCI WĘDKARSKIE

Ech, te bolenie…

Współcześnie trudno odkryć jakiś genialny sposób na ryby. Wydaje się, że wszystko zostało już wynalezione, zanalizowane i opisane. Pozostaje więc zakupić sprzęt, znaleźć rybną wodę i wykorzystać wiedzę nabytą z książek, wędkarskiej prasy czy Internetu. Kiedyś było inaczej…

Boleń - jedna z najpiękniejszych ryb polskich wód

Każdy z nas, moczykijów, ma lub miał w przeszłości swoje wędkarskie eldorado. Dla mnie takim miejscem była wiślana wyspa, kilkuhektarowa zielona kępa – porośnięta drzewami i krzakami – leżąca w okolicach Połańca. Żeby się na nią dostać, należało dysponować pontonem albo odrobiną odwagi, niezbędnej do pokonania kilkudziesięciu metrów brodu, z sięgającą powyżej pasa wodą. Jako że nie posiadałem wówczas środka pływającego, pozostawało mi brodzenie. Jego trudy były jednak wynagradzane przez to, co dla wędkarza najważniejsze, przez wspaniałe ryby.

Gdy pierwszy raz wybrałem się na wyspę, zachęcony zresztą przez przyjaciela, oniemiałem z wrażenia. Po przebrnięciu kilkusetmetrowego odcinka chaszczy dotarłem do atrakcyjniejszego, północnego brzegu. Ujrzałem tam coś, co do dzisiaj mam przed oczyma. Stromą, piaszczystą, pooraną korzeniami skarpę, podmywaną przez leniwy nurt ciemnej wody, poprzetykanej gdzieniegdzie konarami starych drzew, sterczącymi nad powierzchnią niczym łapy pozatapianych olbrzymów. Już po pierwszym rzucie przyrdzewiałą wahadłówką wiedziałem, że to rybna woda. Nie mogło być inaczej – głęboko, niezbyt duży uciąg i mnóstwo zaczepów. Pamiętam, że złowiłem wtedy dwa niezłe szczupaki i zerwałem jednego, okazalszego, który wykorzystał jakąś podwodną przeszkodę.

Odwiedzałem to miejsce wielokrotnie i schwytałem tam mnóstwo wspaniałych ryb – wiele z nich do dziś pozostaje moimi „życiówkami". Sumy, sandacze, a przede wszystkim szczupaki brały niesamowicie. Nie będzie przesadą, jeśli stwierdzę, że po pewnym czasie ich łowienie stawało się po prostu nudne. Nic więc dziwnego, że poszukiwać zacząłem nowych wyzwań i coraz bardziej tęsknym wzrokiem spoglądałem na burzące

wodę srebrne torpedy – wiślane bolenie. Wielokrotnie próbowałem je przechytrzyć, ale każdorazowo kończyło się to fiaskiem. Rapy przestawały żerować albo zmieniały miejsce swoich harców. Wahadłówki i wirówki, które z powodzeniem stosowałem przy okazji łowienia innych drapieżników, okazywały się nieskuteczne. Doszło nawet do tego, że zniechęcony opuszczałem wyspę po godzinie, dwóch łowienia – nie mogłem znieść goryczy ciągłych porażek.

Po sezonie pełnym niepowodzeń przyszła zima, a wraz z nią czas na czytanie fachowej literatury (wtedy były to prenumerowane przez ojca „Wiadomości Wędkarskie"). Dowiedziałem się, jakie błędy popełniałem, poznałem najskuteczniejsze przynęty, a także techniki ich prowadzenia. Uzupełniłem swój ekwipunek, część sprzętu kupując, a część wykonując samodzielnie w przydomowym warsztacie. Wydawało się, że kolejny sezon musi przynieść sukcesy – przygotowany byłem wszak perfekcyjnie.

Faktycznie, już pierwsze wyprawy pokazały, że nauka daje efekty. Chwytane bolki nie były może jakimiś kolosami, ale ich łowienie sprawiało niezwykłą frajdę. Któryż ze spinningistów nie kocha momentu, kiedy rapa atakuje prowadzoną tuż przed powierzchnią wody przynętę? Po miesiącu udanych łowów postanowiłem zapolować wreszcie na grubą rapę – prawdziwego wiślanego rekina…

Ze znalezieniem stanowisk rekordowych okazów boleni miałem początkowo problemy, bowiem okazało się, że nie żerują one tak widowiskowo, jak ich młodsi pobratymcy. Pomógł – jak zwykle – przypadek. Któregoś gorącego popołudnia leżałem na brzegu skarpy, zmęczony wielogodzinnym machaniem spinnerem i wpatrywałem się bezmyślnie w wodę płynącą poniżej. Nagle – zza spróchniałego pniaka – wyskoczyły spanikowane klenie. Sądziłem, że zaatakował je gruby szczupak, gdyż wielkość pogonionej „drobnicy" była doprawdy imponująca. Jednak po chwili ujrzałem sprawcę zamieszania. Przez ułamek sekundy błysnęła pod powierzchnią rapa, której wielkość oceniłem ostrożnie na około pięć kilogramów. Właśnie o takiej zdobyczy marzyłem! Nogi drżały, a serce waliło niczym młot, gdy zjeżdżałem na czterech literach w dół skarpy, by zająć umożliwiające spinningowanie stanowisko. Niestety – wykonałem chyba z pół setki rzutów, zmieniając co chwilę przynęty, ale bez oczekiwanego efektu. Ryba przestała żerować po kilku minutach i biczowanie wody stało się bezsensowne. Postanowiłem, że wrócę po bolka nazajutrz.

Kolejne dni nie dały mi jednak kontaktu – choćby wzrokowego – z rybą. Zacząłem więc kombinować, modyfikując stosowane błystki. Zauważyłem wcześniej, że najlepsze efekty dawała wąska, długa obrotówka ze srebrno-miedzianym skrzydełkiem. Była skuteczna na mniejsze bolenie, jednak na tego kolosa nie oddziaływała. Mimo to zawsze na koniec wędkowania wracałem do niej z ufnością. Tak więc podczas kolejnych łowów, gdy słońce kryło się już za wysokim brzegiem, sięgnąłem do pudełka po ulubioną obrotówkę. „Dwa, trzy rzuty i uciekam" – pomyślałem. Niestety, już po pierwszym zarzucie kotwica błystki utkwiła na dobre w jakimś korzeniu. Za wszelką cenę próbowałem uratować przynętę, bo – jak wspominałem – na mniejsze bolki była prawdziwym killerem. Po kilkuminutowej zabawie stał się cud – odzyskałem błysk, ale nie w pełni sprawny – w zaczepie pozostała kotwiczka. Okazało się, że to zdarzenie to prawdziwy dar od losu…

Następnego dnia uzbroiłem obrotówkę w nową kotwiczkę, ale nie przymocowałem jej bezpośrednio do korpusu, lecz przywiązałem na centymetrowej długości żyłce. Inspiracją tego wynalazku stało się zwykłe, ludzkie lenistwo. Nie chciało mi się kombinować z wyciąganiem drucika spod koralików, więc uprościłem sobie sprawę. Powstała w ten sposób przynęta wydłużyła się trochę, a kotwiczka merdała tuż za błystką – niczym ogonek. Przedzierając się do mojej miejscówki, zauważyłem innego żerującego bolenia. Postanowiłem więc wypróbować mój wynalazek. Już pierwszy rzut przyniósł mi ładnego, dwukilowego kabana. W sercu pojawiła się nadzieja, ale zdawałem sobie sprawę, że jeden przypadek nie świadczy jeszcze o wynalezieniu superprzynęty.

Kiedy dotarłem na miejsce, podczołgałem się – jak zwykle – na urwisty brzeg. Miałem szczęście, rapa żerowała. Raz i drugi pokazała się strwożona drobnica. Spokojnie przedostałem się do podnóża skarpy i wykonałem rzut. Okazał się niezbyt udany, za krótki. Pokręciłem zdenerwowany korbką starej germiny i poczułem nagle potworne uderzenie, które poprzedził wir w miejscu, gdzie winna znajdować się przynęta. Nie zacinałem, nie było takiej potrzeby. Zaraz po uderzeniu wiślany rozbójnik zabrał mi kilkanaście metrów żyłki z kołowrotka – na szczęście hamulec był odpowiednio wyregulowany. Po krótkiej, ale energicznej walce podprowadziłem rybę w pobliże brzegu. Boleń ułatwiał mi hol, gdyż ustawił się łbem w kierunku nurtu, przez co stosunkowo szybko tracił siły. Jeszcze dwa, trzy razy

zajazgotał kołowrotek i rapa się uspokoiła. Postanowiłem podciągnąć ją pod powierzchnię. Kilka pompnięć sprawiło, że ujrzałem potężny bok srebrzystej torpedy. Niestety, to był początek nieszczęścia. Niedoszła zdobycz jak gdyby zrozumiała, że zagraża jej niebezpieczeństwo i z całym impetem ruszyła z nurtem wzdłuż brzegu. Hamulec zapiszczał żałośnie, zacharczał, wędka wygięła się w pałąk, a po chwili usłyszałem suchy trzask. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, co się stało. Ciszę, jaka wokół zapanowała, przerywał tylko złośliwy skrzekot jakiegoś ptaszyska. Pot płynął mi po skroniach, a ręce drżały z emocji. Miałem ochotę trzasnąć spinner do wody i dać sobie na dobre spokój z wędkarstwem. Usiadłem na piaszczystym brzegu i zachciało mi się płakać. Po kilku minutach zdecydowałem się jednak sprawdzić zestaw. Ku mojemu zaskoczeniu nie doszło do zerwania żyłki – wygięły się natomiast ramiona nowej kotwiczki. „A niech to szlag!" – zakląłem, ale po chwili skonstatowałem, że gdyby nie to, z pewnością strzeliłaby żyłka. Nie łowiłem już tego dnia, zmęczony i smutny udałem się do domu.

Przez następne dwa tygodnie złowiłem na tę obrotówkę z uwiązaną na żyłce kotwiczką kilkanaście wspaniałych boleni. Przyjrzałem się uważnie jej pracy i odkryłem – tak przynajmniej sadzę – powód jej skuteczności. Luźna kotwiczka ciekawie pracowała przy szybkim prowadzeniu, a kolebiąc i obracając się w różne strony, wytwarzała tunel pęcherzyków, które doprowadzały rapy do furii. Sprawdzałem – tego efektu nie było, gdy zakładałem kotwicę klasycznie. Ta sama blaszka, gdy uzbroić ją w sposób nowatorski, stawała się diablo skuteczna.

Pod koniec sierpnia, jakiś miesiąc po mojej porażce, olbrzym wrócił na swoje stanowisko. Znowu zacząłem podchody i polowania. Ryba jednak nie dawała się już tak łatwo oszukać. Wychodziła wprawdzie do szybko prowadzonej wirówki, ale odprowadzała ją do brzegu lub zawracała tuż przed nią. Nie musze mówić, że te boleniowe spacery doprowadzały mnie do palpitacji.

Kiedy traciłem już nadzieję na złowienie giganta, stało się coś nieoczekiwanego. Wybrałem się na wyspę z kumplem, tym, który jako pierwszy pokazał mi wędkarskie eldorado. On z myślą o szczupłych, ja – jak zawsze – z marzeniami o „skaleczonym" boleniu. Po kilku godzinach łowów kolega zbliżył się do miejsca, w którym spinningowałem. Złowił ładnego zębacza i tryskał humorem. Obserwował chwilę moje wysiłki i zapytał uprzejmie, czy może bolkowi podrzucić swoją algę. Spojrzałem na niego z politowaniem i – jako specjalista – dałem wykład na temat łowienia boleni. Mimo wszystko towarzysz zdecydował się wykonać zarzut i… cóż tu dużo mówić – po chwili srebrzysty rekin leżał pod jego nogami, a ja czułem się tak, jakby mnie ktoś w gębę zdzielił. „Na co te moje podchody?! Na co godziny czuwania w upale?! Na co ta cudowna przynęta?!" – zadawałem sobie pytania, w milczeniu trawiąc porażkę.

Boleń ważył nieco ponad pięć kilogramów i przez kilka lat pozostawał rekordem naszego koła. Mimo, że nie ja go złowiłem, to jednak wspominam wakacje z rekinem do dzisiaj – jako jedne z najpiękniejszych w życiu. To chyba wtedy przekonałem się, że tak naprawdę sól wędkarstwa stanowi jego nieprzewidywalność. Gdyby istniały cudowne recepty, niesamowite sposoby i superprzynęty, łowienie ryb stałoby się dla wielu z nas po prostu nudne. Pewnie – ważne są metody połowu, istotna wiedza, a jeszcze istotniejsze doświadczenie, czasem jednak o sukcesie lub jego braku decyduje zwykły przypadek. I to chyba w wędkarstwie jest najpiękniejsze. Nawet nie „chyba". Na pewno.

Być wędkarzem – co to znaczy?...

Pamiętam, że było wtedy lato, a mgła, opadająca w postaci lekkiej mżawki, chłodziła rozgrzane długim marszem policzki. Kucałem ukryty w przybrzeżnym gąszczu wikliny i wpatrywałem się uparcie w szczytówkę lekkiej gruntówki, zaklinając myślami przyszłą zdobycz. Byłem niemal pewien, że za chwilę stanie się coś niezwykłego…

Wtem zestaw, przygotowany z myślą o połowie okoni, zatrząsł się gwałtownie, a żyłka, obciążona niewielką oliwką, pomknęła ostro w prawą stronę. Drżącymi z emocji rękoma chwyciłem wędkę i ostro zaciąłem. Pulsujący ciężar, który poczułem, wprawił mnie w stan euforii. Ryba szalała w niewielkiej rzeczce, a ja przeżywałem jedną z najpiękniejszych chwil w moim krótkim, bo dopiero kilkunastoletnim życiu. Spodziewałem się grubego pasiaka, gdyż to one zwykle atakowały podawane przynęty. Jednak – po podprowadzeniu ryby pod brzeg – przekonałem się, że tym razem mam szansę schwytać szczupaka. Pierwszego w życiu! Gdy go ujrzałem, natychmiast rzuciłem się w kierunku zdobyczy i po chwili na brzegu miałem upragnionego esoxa. Mokry, rozdygotany, ale niezmiernie szczęśliwy podziwiałem zdobycz.

Kiedy ochłonąłem nieco z emocji, zaczęły się problemy. Szczupak-gigant nagle zmalał – wędkarska miara pokazywała zaledwie 38 cm. Ryba okazała się

więc niewymiarowa, należało ją wypuścić. „Ale jak to – zrezygnować z pierwszego w życiu szczupaka?" – pomyślałem ze smutkiem. Po minucie wahania zdecydowałem się złamać przepisy i zatrzymać rybę. Ogłuszyłem ją i schowałem do harcerskiego plecaka.

Wyrzuty sumienia, które dręczyły mnie w drodze powrotnej, zniknęły, gdy usłyszałem pochwały od domowników. Wreszcie mogłem się poczuć, jak wędkarz z krwi i kości – miałem na rozkładzie pierwszego szczupaka, i to „prawie" wymiarowego. Spreparowałem nawet łeb zdobyczy i chwaliłem się nim kolegom po kiju. Gdy dostrzegałem iskierki zazdrości w ich oczach, byłem naprawdę szczęśliwy.

Później, przez szereg lat, wielokrotnie łowiłem szczupaki i inne ryby, ale już nigdy nie zdarzyło mi się zabrać do domu niewymiarowej zdobyczy. Zawsze kiedy korciło mnie, żeby to zrobić, przypominał mi się ten pierwszy esox. I nie wiem czemu, ale wspomnienie o nim powstrzymywało mnie od uśmiercania krótkich ryb. Być może dlatego, że zaspokoiłem swoje atawistyczne ambicje – ale tego nie jestem do końca pewien.

Kiedy przyszła moda na wędkarstwo oparte na zasadzie „złów i wypuść", nie miałem wielkich problemów, by się do niej dostosować. Złowione ryby wracały zwykle do wody, dzieje się tak zresztą do dzisiaj. Jednak nigdy nie stałem się fanatykiem potępiającym wszystkich, którzy nie postępują zgodnie z powyższą zasadą. Lekcja ze szczupakiem nauczyła mnie, że niekiedy trudno zrezygnować ze zdobyczy. Gdybym dziś – w dobie aparatów cyfrowych – złowił rekordowego zębacza, nie wiem, jak bym postąpił. Przecież wszyscy jesteśmy tylko ludźmi i w każdym z nas drzemie potrzeba rywalizacji, chęć zaimponowania kolegom i inne „niskie" pobudki.

Sądzę zatem, że wędkarstwa, tak jak każdej sztuki, trzeba się uczyć. Ta nauka trwa przez całe życie i prowadzić winna nie tylko do wyrugowania instynktu zabijania, ale także do wykształtowania w sobie tolerancji niezbędnej do współistnienia z wędkarzami, którzy mają inną niż my wizję realizacji swojej pasji. Przede wszystkim jednak powinniśmy nauczyć się miłości do przyrody – jeśli zdołamy to zrobić, to nasze rzeki nie zmienią się w płynące pustynie, a ryb wystarczy dla każdego.

Są takie piękne ...

Spis treści

Radosław Matusiewicz
HERB POŁAŃCA 4

Opracował Radosław Matusiewicz
SPORT ZBLIŻA, CZYLI O DWÓCH ZAPRZYJAŹNIONYCH DRUŻYNACH 5

Małgorzata Dalmata-Konwicka
NASZA SYBERIADA 12

Mariusz Andrzej Parcheta
WOJSKO CARSKIE POD POŁAŃCEM
W DNIACH 5 MAJA 1794 – 19 MAJA 1794 ROKU - CZĘŚĆ II 17

Teresa Switek
ZAPISKI Z PODRÓŻY DO ZIEMI ŚWIĘTEJ 21

Ryszard Grelewski
KILKA SŁÓW O POŁANIECKIEJ SŁUŻBIE ZDROWIA 39

Zespół Reakcyjny
POŻEGNANIE JÓZEFA KORCZAKA 42

Alisa Udodik
POCZTÓWKA Z POLSKI 45

Marek Pedyński
OPOWIEŚCI WĘDKARSKIE 46

Zeszyty Połanieckie

Zeszyt opracował: Marek Pedyński

Zespół redakcyjny: Marek Pedyński (red. naczelny), Radosław Matusiewicz.

Osoby współpracujące z redakcją: Małgorzata Dalmata-Konwicka, Konstanty Mirosław Michorowski, Mariusz Parcheta.

Korekta: Grażyna Cichoń

Łamanie: APLA

Pracownia Wydawniczo-Fotograficzna APLA Andrzej Skibicki
38-471 Wojaszówka, Wojkówka 86 tel. 603926958
www.pracownia-apla.pl, email: pracownia.apla@gmail.com

Zdjęcia: Archiwum TK, Jarosław Głowniak, Ludmiła Karpowa, Artur Komorowski, Aneta Matusiewicz, Radosław Matusiewicz, Marek Pedyński, Teresa Switek.

Adres Redakcji: 28-230 Połaniec, ul. Ruszczańska 27, Rejestr sądowy: Sąd Okręgowy w Kielcach INS-rej. Pr103/01
PL ISSN 1643-370X, NIP 866-15-42-222 REGON 830356533, BS Połaniec 45 9425 0008 0000 1326 2004 0002

© Copyright by Towarzystwo Kościuszkowskie w Połańcu

Konto: BS Połaniec 94250008-1326-27006-04

Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i adiustacji nadesłanych materiałów. Tekstów niezamówionych nie zwracamy.

„Zeszyty Połanieckie" wydawane są dzięki wsparciu finansowemu Urzędu Miasta i Gminy Połaniec, który pokrywa koszty wydruku wydawnictwa.

Kosynierzy z Połańca podczas patriotycznej uroczystości w Tarnobrzegu *fot. Archiwum TK*

Uczestnicy rekonstrukcji historycznej w Połańcu - maj 2014 *fot. Archiwum TK*

Figura w Rytwianach, przedstawiająca Tadeusza Kościuszkę fot. A. Komorowski